

Aby rozpocząć lekturę,  
kliknij na taki przycisk ,  
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym  
LITERATURA.NET.PL  
kliknij na logo poniżej.



Adolf Dygasiński

# **WILK, PSY I LUDZIE**

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

## I

Witajcie mi, witajcie nadnarwiańskie lasy! Wasza woń i świeżość zdaje się jeszcze pieścić i upajać mię dzisiaj, choć już dwadzieścia lat temu, jak was pożegnałem. Obraz boru, jak wszedł w duszę, tak w niej pozostał ze wszystkimi szczegółami. I oto widzę przed sobą reprezentantkę naszej szpilkowej roślinności, sosnę. U dołu nie ma ona gałęzi, jest wysokopienna, czerwonawa, leni się cieniutkimi warstewkami, jakby pieniążkami, rozrzuca swą korę dokoła. Wyżej pokryta jest sękami i sęczkami; w górze nosi koronę jak jeleń, rosochata, rzadką w konary, pomiędzy którymi wysoko czernieje gniazdo wronie, jastrzębie lub krucze. Przysiada ją niekiedy zielona jemiola, co ku dołowi opuszcza kołpak swych liści, tak żywo połyskujących, bo na cudzej wypasionych skórce. Przy ziemi sterczą korzeniska, leży mnóstwo szyszek oraz igieł, tych materiałów budowlanych dla mrówek. Z tych owadów jedne oto dźwigają taką igłę, rozparłszy się całymi siłami jak dwa mocne chłopy; inne odbywają staranne poszukiwania w szyszkach, zalazłszy w każdy ich zakątek – a inne jeszcze wybrały się w uciążliwą podróż, het ku wierchołkowi drzewa. Alić przyleciał piękny, pstry dzięcioł, lekko przysiadł na drzewie, okiem bystro objął pozycję i zaczął tu swoje gospodarstwo. Strach wielki wśród pracowitego narodu mrówek. Każde stworzenie zna swoich nieprzyjaciół, umie ich dopatrzeć, dosłyszeć, zwietrzyć. Więc te, które były blisko podstawy sosny, czym prędzej na ziemię schodzą, niektóre chronią się na szczyt drzewa i na jego gałęzie, a inne chcą oszukać nieprzyjaciela i chowają się w kryjówkach pod korą. Daremnie! Dzięcioł należy do drapieżników, jawnie napadających na swą zdobycz. Krzyknął głośno – raz – drugi raz... potem dziobem stuka jak młotem, wali w korę. Strach wielki pada na ukryte owady, ten huk ogłusza je strasznie i prawie że pozbawia przytomności umysłu; wylażą na wierzch, przerażone, zaczynają zmykać, ale cóż im to pomoże wobec dzięcioła? Wiewiórka, przestraszona zgiełkiem, wyskoczyła także jak bomba z dziupli swojej; podskakuje niby piłka rzucona lub sunie w górę zręczniej od dzięcioła; zadarła swój ogonek, zasiadła na dwóch łapkach i ciekawym okiem przygląda się dzięciołowej pracy.

Przy jednym drzewie tyle istot żywych, choć wszystkich policzyć nie zdołamy przecież. I ćmy, i pajęczki, i chrząszczyki świat tu sobie założyły. Było im dobrze, bezpiecznie, przyjemnie wśród żywicznej woni, aż po chwilę, kiedy nieprzyjaciel wytropił schronienie, zniszczył rodzinne gniazda i rozrzucił je, a założycieli rodzin pozabijał, porozpędzał na cztery wiatry. Nie w prostym kierunku, ale dookoła jak śruba mknie dzięcioł w górę, nurtuje wszędzie państwo owadów. Taki zły, choć taki piękny: szaty jego jaśnieją i szkarłatem, i jedwabistym połyskiem. Podchodzi ku szczytowi; wiewiórka parsknęła i dzięcioł odleciał do innej sosny; on także boi się kogoś, widać.

W gęstwinie świerku, po jego szarej korce, między powyginanymi gałązkami uwija się całe stado popielatych i modrych sikorek, tych kolibrów naszych krajowych; piszcą i szczebiocą sobie z cicha, jakby wiodły poufną jakąś dysputę, a przy tym prowadzą zawzięte łowy na komary poszukujące cienia, na świętojańskie robaczki, sprężyki itp. Stary świerk stoi, niby na kopcu, na stosie swych opadłych i uwiedłych szpilek; niedaleko wyrosło kilku synów jego, którzy podobni są do małych gotyckich wieżyczek, otaczających wielką wysmukłą wieżę w tymże stylu.

A dalej czerni się gąszcz młodego drzewstwa, które przysłoniło ziemię swoim parasolem, tak iż się tu nie przedrą promienie słoneczne i przeto na ziemi gdzieniegdzie tylko kępka wysokiej trawy porasta. Zimą przez gąszcz ten przechodzi główny trakt zwierzyny. Tędy sunie zając, a za nim trop w trop lis ściga; tutaj wilki zbierają się na wiece; tu odyniec zakłada legowisko, spodziewając się wytchnienia przed ludzką napaścią, i zwinna kuna przemyka się tędy, i sarna goni pierzchliwa. Historię nocy może każdy odczytywać w zimowy ranek ze śladów, które mieszkańcy lasu zostawili po sobie na śniegu.

Idziesz dalej, a po drodze furknie ci przed nogami z krzykiem drozd albo się zerwie wrzaskliwa sójka. Wobec wspólnego wroga wszystkie żywe istoty lasu mimowolnie wchodzi w związek solidarny. Gdy sójka wrzaśnie, wtedy ma się już na baczności i zając zaspany pod krzakiem, i wiewiórka na gałęzi, i motyl się z kwiatka porywa.

Kończy się gęstwina szpilkowej młodzi; widać porębę. Z poręby można się już niebu dobrze przypatrzeć. Słońce świeci tu i przygrzewa. Na słońce wychodzą z lasu węże i jaszczurki, aby się w porębie wylegiwać, o południu zaś gromadzi się wszelki owad leśny, wzdychający do jasnych promieni światła. Brzęczą tu rozmaite muszki; ważki i szklarze bujają w powietrzu; motyle przelatują to górnym, to dolnym szlakiem – białe, szare, niebieskie, żółte, duże i małe. I bezskrzydłe mrówki, i zielone pająki, i czarne szczypanki, siedmiokropki albo biedronki krzątają się rażno. Koniki polne hasają, skaczą; świerszcz przygrywa do tańca, do zabawy powszechnej. Pod wpływem promieni słonecznych zrodziła się chyba energia i uczucie szczęścia organizmów. Więc nie dziw, iż w dzień biały, ciepły – panuje ruch tak powszechny. Wszystko się kształci, doskonali, wzrasta, każde stworzenie używa życia, jak umie.

Nie ma kwiatka, w którym by jakiś owad nie pracował; gęsta trawa wstrząsa się od ruchu drobnych stworzeń, które chyłkiem i milczkiem pełzają po samej ziemi. Osy, szerszenie, trzmiele brzęczą. Czasem jak kula wypada z gąszczu drobna, szara ptaszyna, pogoni za motylem, schwyci go i znika. Niech się tu pokaże człowiek, koń, sarna, w ogóle większe jakieś stworzenie, a w mgnieniu oka opadną je krwi chciwe gzy z wielkimi oczyma, wpijają się w ciało i raczej śmierć przeniosą nad porzucenie swej ofiary.

Nastrojona wyobraźnia ludzka nie zawsze w duchu prawdy pojmuje przyrodę. Bawi człowieka ten ruch istot żywych; ale czyż się myśli zawsze, że nie wszystko tu jest szczęściem i weselem. Przede wszystkim te stworzenia bardzo ciężko pracują, walczą jedne z drugimi. Nie każdy głos jest tu głosem szczęścia. Jest także dużo i cierpień, bólu. Miliony jestestw pada w krwawych zapasach o kawałek chleba, o uczucia swoje, o prawa: jedne giną, aby żyły drugie. Każdy się bowiem broni, każdy walczy, ale nie każdy zwycięża. Życie ziemskie oraz ziemia sama, aby się zapłodnić, potrzebują trupów, aby życie rozwijać dalej. Więc gdy jedni święcą pogrzeby i żałobę, drudzy ich kosztem wyprawiają wesela i uczyty. W walce o istnienie znajdujemy tak dobrze trupy mrówek, świerszczów, motyli, jak zwłoki ludzi i różnych ssaków. Bo nic się nie organizuje bez dezorganizacji. Wszędzie jest wojna, wszędzie bohaterowie – tryumfatorzy i bohaterzy – męczennicy. Pająk usnuł piękną, symetryczną i jakby z jedwabiu siatkę, na którą poeta patrzyłby ze zgrozą, gdyby się w niej łowili ludzie zamiast much i komarów. A jednak, ściśle mówiąc, i te stworzenia są naszymi bliźniami, podobnie jak same pająki.

Wśród liściastych drzew i krzewów znów inny rodzaj życia panuje. Rumieni się kalina; drżą srebrne liście osiki; biało połyska brzoza; szumi górą dąb stary, wiązy i grabina; jeżyna dołem się słania, bujnym swym liściem przykrywa grzyby; rozłożyste paprocie, gęsto usiane borówki, poziomki, szczawie zajęcze, kępy przyłaszczek rosną na przemian z sasankami, konwalią, pierwiosnkami i jaskrami. W leszczynie cieniuchnym głosikiem śpiewa a śpiewa pokrzewka i zielona żabka wtóruje jej niby grzechotką; a na sęku dębu zięba nuci krótką, lecz powabną piosenkę, a ponad nią wesoło pogwizduje wilga, przerzucając się z gałęzi na gałąź jak kłębek szczerzłotych nici. Tęsknym, urywanym głosem gil w oddaleniu poświstuje, a

tęskniej jeszcze od niego jakieś pisklę nawołuje z gniazda ku sobie zabłąkaną kędyś matkę. Wśród gąszczy liści słychać w górze gruchanie gołębi, a ponad tym wszystkim od czasu do czasu zakraka kruk w przelocie.

Nowe znowu obrazy życia roztaczają się około leśnych strumieni, źródeł, moczarów i bieli. Strumień rwie się przez mchy, zarośla, korzenie drzew; ale tyle spotyka on przeszkód, że wreszcie traci niejako swą siłę, gubi swoje łożysko, spływa po wierzchu, rozlewa się wokoło, wsiąka w ziemię, tworzy bagno. Wody przybywa nieustannie, powstaje jeziorzysko. Rosną dokoła sitowia, rokitnicy, wikle, tataraki; olszyna się rozpuszcza, korzeniami grząski grunt trzyma; do niej tulą się sztywne trawy, skrzypy, a gdzieś tam wykwita storczyk lub bukiet kaczynca; wśród wód wznoszą się tu i ówdzie jak wysepki, zielone kępki, pokryte trawą bujną, rdestem wodnym i niezapominajkami. Ale sam środek jeziorzyska albo bieli – trudny do przejścia. Wody zebrało się tu dużo, a żadne jej brzegi nie hamują; płynąć nie może już dalej, bo oto wzgórze na drodze spotkała, więc cofa się nazad i rozlewa na wszystkie strony. Lecz nim zalała okoliczne miejscowości, zebrała się głównie w jednej kotlinie. Jest to więc biel. Niegdyś rosły tutaj drzewa, ale pogniły, tylko nagie czarne pale sterczą po nich nad wodą, po powierzchni której pływa rześa, pływają także szerokie liście grzybienia, a wielkie, białe oraz żółte kwiaty tej rośliny unoszą się nad wodą, podobne do starożytnych roztruchanów. Wysmukła trzcina to rośnie kępami wśród wód, to brzegiem gęsto porasta, woda ją wzrusza, wiatr nią kołysze i stąd dziwne szумы, skrzyp oraz gwizd przerywają ciszę tego ustronia. Czasem kurka wodna wypłynie, łyska skrajami się przemyka, cyranka z potomstwem żeruje, zapadają wielkie kaczki krzyżówki i wśród trzcin oraz tataraków rozpoczynają pilne poszukiwania. W noc księżycową słychać tutaj ciągle pluski; biel nakrywa się mgłą gęstą, jakby przysłonić chciała swoje tajemnice. Latem o świcie ruch i życie zaczyna się po bielach. Kto się przybliży, ten usłyszy gwary i głosy różnorodne. Oto wielki kaczor wznosił się nad wodę, niby stoi na jej powierzchni, skrzydłami trzepoce w powietrzu, wrzeszcząc donośnie: „Tak... tak... tak!...”. Całe stado niebawem powtarza za nim to samo hasło. Niektóre młode wprawiają się w nurkowanie, inne opuściły dziób i szyję pod wodę, a tył ciała ustawiły pionowo. Na brzegu stoi czapla zadumana jakoś poważnie, zdaje się być obojętną na wszystko ten zgiełk wielki. Dwie bielutkie mewy z dalekich stron przyleciały tu z wiatrem, przenocowały, a rano odbywają jeszcze przegląd bieli. Muskają wodę, rzucają się w górę, szybują, to znowu jak kule spadają ku dołowi. Nadbrzeżną kałużę obsiadły małe kuliki z pliszkami. Około kępek po błocie gonią bekasy i dubelty. Czasem porwie się który, wzleci, krzyknie i znowu spada na bagno.

Wtem nagle na wodę padł cień jakiś olbrzymi, jakoby czarna płachta odbiła się na bieli. Przeciągły pisk zabrzmiał po wszystkich bagienkach, po wodzie zaś rozległ się plusk przeciągły, rzekłbyś, iż ciężkie jakie cielsko przewlokło się tędy... to ptactwo wodne się chroni. Wszystko ucichło, pierzchnęło, bo oto olbrzymi jastrząb, łowca i pierwszy po człowieku tępiciel skrzydlatej zwierzyny odbywa ranne odwiedziny; potrzeba mu właśnie podatku krwi i życia od istot słabszych. Przeleciał nad samą powierzchnią wody powolnie, ciężko, bacznie dokoła siebie obserwując. Nic nie widać. Pospieszył ponad zielone kępki, zrywają się ksyki i trwożliwe głosy niosą w powietrze. Ale któż ksyka dogoni?... Zawiedziony łupieżca wzbił się w górę i usiadł na samym szczycie sąsiedniego drzewa.

## II

Pod lasem przy małej drożynce mieszkał Szymon, strzelec, chłop stary, mądry, zawołany myśliwy, chodząca kronika boru. Wiedział on, ile sztuk saren jest w kniei i gdzie się która o każdej porze dnia znajduje. Obyczaje dzików, wilków, lisów i zajęcy były mu dokładnie znane; z niektórymi osobnikami szczyił się nawet bardzo bliskimi stosunkami znajomości, to znaczy, iż poznawał w lesie sztuki, które niegdyś uszły przed jego strzałem. Takim zwierzętom przypisywał Szymon niejako związki z siłami nadprzyrodzonymi. Miał on swojego zająca, którego już czterokrotnie chybił w ciągu dwóch lat przynajmniej. Był i lis taki, co zręcznie omijał wszelkie samolówki, sieci oraz żelaza, a przed pogonią ogarów ginął nieraz jakby pod ziemią. Gospodarzył też w tamtejszych lasach osobliwy dzik pojedynek; z nim to Szymon spotykał się już niejednokrotnie oko w oko, strzelał już do niego nabojem z grubych ćwieków, gdy zwykle kule nie pomagały. Ale i to się na nic zdało. Następnie więc strzelec użył święconej kuli, na której trzechkrólową kredą zaznaczony był biały krzyżyk. Dzik ów zniknął niekiedy z boru na jakiś czas, a potem znowu się zjawiał, zakładając legowisko to w gąszczach, to na brzegach bieli w bagnach. Latem wyrządzał on niemałe szkody w polach przylegających do lasu, zwłaszcza też pustoszył kartofle. Szymon zasadzał się na zwierza nocami; i on, który w sprawach myśliwskich chciał być nieomylnym, pozwalał się dzikowi oszukiwać; bo pojedynek właśnie w czasie zasadzki albo wcale nie wyszedł w pole, albo pokazało się nazajutrz, że o trzysta kroków od zaczajonego strzelca skopał i zniszczył kawałek pola. Nie był to więc pospolity odyniec, jakich Szymon corocznie kilku kładł trupem. Nasz myśliwy sądził, że dzik znał jego myśli i zamiary, że więc niepodobieństwem było walczyć człowiekowi ze stworzeniem tak dziwnego rodzaju.

Jednakże ani ów mądry zając, ani przebiegły lis, ani dzik, o którym właśnie co tylko była mowa, nie mogły iść w porównanie z pewnym wilkiem albo – jak go Szymon mianował – „wilkołakiem”.

„Przed siedmiu laty – są słowa starego myśliwca – przybyło w te strony nad Narew stado wilków, liczące coś trzynaście sztuk. Zima była wówczas bardzo mroźna i śnieżna. W końcu stycznia wilki owe podeszły nocą ku jednej wsi, podkopały się do chlewa i pożarły trzy sztuki świń. Nazajutrz zrobiliśmy polowanie; wyszło w nagonkę dużo ludzi z dragami i widłami, a strzelców było ze dwudziestu. Obszedłem tropy, rozstawiłem wszystkich, jak należało, i sam nareszcie zająłem własne stanowisko. Nigdy tego nie zapomnę, jak spudłowałem wtedy o dwadzieścia kroków. A było to tak: wilki rozbiły się podczas obławy, a nawet jeden wilk z całej gromady zniknął gdzieś bez śladu, jak kamień w wodzie. Ubito już trzy, a z pięć uszło przez łańcuch i przepравиło się po lodzie za Narew. Na mnie wyparowały od razu aż cztery wilki. Z przodu szło ogromne wilczysko, wyższe o głowę od innych; zwierz ten bynajmniej nie pędził przestraszony krzykami i hałasem nagonki, ale kroczył sobie dość wolno, podskakując z lekka; paszczę miał otwartą i język z boku wywieszony, a ogon podniesiony w górę jak pies. Karczysko było strasznie grube, porośnięte płowymi kudłami. Nieulekły, stanął na wprost mnie i bystro wytrzeszczył ślepie; zdawało się, że pilnie nasłuchuje. Nigdy jeszcze w życiu nie widziałem takiego wilka. Wziąłem go dokładnie na cel, będąc ukrytym za drzewem; jednakże strzelba nie wypaliła, a i łoskot wcale nie przeraził wilka. Szedł prosto ku mnie jak nigdy nic, podczas gdy inne wilki rozbiegły się na wszystkie

strony. Gdy przebiegał koło drzewa, za którym stałem ukryty, słyszałem wyraźnie, jak szcękając zębami. Sięgnąłem po kapiszon, choć mi się zimno zrobiło, bo wilka tak zuchwałego na obławie nie widziałem nigdy. Spojrzałem w stronę, gdzie poszedł, a on sobie z wolna postępuje o jakie dwadzieścia kroków ode mnie. Celuję i strzelam; cóż, kiedy strzał chybia. Przeżegnałem się teraz, ale już nie miałem odwagi poszukać, gdzie upadł nabój ostro nabity loftkami. Wielkie wilczyisko uszło w bór, gdyż był to wilkołak, to jest zła dusza w wilczej skórze.

Jakoś w tydzień przeszło po polowaniu chwyciły cięższe jeszcze mrozy, tak że ptactwo od nich padało; wilczych tropów pełno było po polach i koło lasu, choć nie dało się słyszeć, żeby gdzie we wsi stała się komu jaka szkoda od tych zwierząt. Pamiętam, było to w dzień Świętego Błażeja, wieś złożyła się na wotywę na intencję sfolgowania mrozów. Po nabożeństwie w Goworowie zebrali się gospodarze na pogwarke w małowieskiej karczynie i tak też tam zeszło do zmierzchu. Wyszedłem z karczmy ze sołtysem Mateuszem, miałem się zaś puścić zaraz ku chałupie, ale kum powiada:

– Wstąpcie no do mnie, Szymonie.

Zalazłem więc do Mateusza i zabawiłem chwilę czasu. Wyjrzał kum na świat i mówi:

– Przenocujcie, Szymonie, bo się jakoś ściemnia, a z Małowieży macie spory kęs drogi do domu.

– Ha, to i lepiej, kiedy ciemno – rzeknę – widać dobrze zelżało, pomogła wotywa – może jutro będzie ponówka. A mnie przecie nie dziwno tłuc się nocą do domu.

I tak puściłem się w drogę, choć było bardzo ciemno. Śnieg zaczął lekko prószyć, potem padał coraz gęstszy. Myślę sobie o jutrzejszym polowaniu, a tu naraz widzę, że jakoś zboczył z drogi, którą przecie od jakich czterdziestu lat wracałem do chałupy, bywało i we dnie, i nocami. Spojrzę, aż tu ni stąd, ni zowąd jestem w wiklinach na łące. »Tfu, do licha ciężkiego, co to znaczy?« – myślałem sobie w duchu. Zawracam na powrót; śnieg gęsto wali mi w oczy, spoglądam, a ja tu znowu jestem po drugiej stronie drogi w krzakach tarninowych. Widocznie kaduk mnie opętał i nosił. Ale z duszą chrześcijańską nie tak to łatwo; odpiąłem ja kurtkę, sięgam pod koszulę, a szkaplerz na wierzch wykładam i z dobrą miną znowu ku drodze zawracam. Idę, idę... ile mogę, przykładam się okiem do ziemi, do nieba, ciemno okrutnie, tylko płyty śniegu sypią. Zalazłem też w pole na gliniane pałygi, blisko wyrw i wąwozów, którymi corocznie woda z całej okolicy do lasu spływa. Przyszło mi więc do głowy zaśpiewać: »Kto się w opiekę«. Czy mi język od zimna zeszywniał, czy też zły już tak gębę zamurował, dość, że ledwie parę ze siebie puszczał, a głosu ani rusz dobyć nie mogłem. Wiedziałem ci ja dobrze, gdzie jestem: »Tu stoję – myślałem sobie – tam za mną Małowieża, na lewo musi być droga, zaś rychtyk przede mną bór i moja chałupa«. Trafić jak nie mogłem, tak nie mogłem. »Może złego nie kusić – rzeknę do siebie – usiądę ot, lepiej w jarze i przeczekam, aż rozświta«. Począłem też szukać krzaczka jałowca, żeby mi nazbyt za kołnierz nie naprószyło. Ale coś się nie udawało znaleźć wygodnego schronienia. Więc przebyłem wąwóz i zaszedłem pod gruszę, w czystym polu stojącą. Tu usiadłem sobie w zaciszu przed wiatrem a śniegiem; miałem ochotę teraz zdrzemnąć się kruszynę, ale chciałem przedtem jeszcze rozejrzeć się po świecie. Postawiłem strzelbę pod drzewem, przyłożyłem rękę do oka i patrzę to na niebo, czy śnieżyca nie ustanie – to przed siebie, czy nie widać czego. W górze ani jednej gwiazdeczki nie ujrzeć: czarno i czarno. W polu za to zdało mi się, że coś świeci; patrzę pilniej, światelko się przybliża: jedno, drugie, trzecie... Zrozumiałem zaraz, że to wilki. »Źle ze mną w takim szczerym polu i przy tak ciemnej nocy«. Dalejże strzelbę na plecy i myk w górę na gruszę. Ledwie się dostał na gałąź, spojrzę ku dołowi, a tu wilki spod drzewa wpatrują się we mnie jak w obraz. Gdym je przerachował, naliczyłem pięć. »Dobryś, pewno to wilcze wesele, a moje takie psie szczęście, że się na nim znalazł«. Cichutko opatrzyłem strzelbę, przykładam się, ale nie strzelam. »A czy ja wiem – strzelać, nie strzelać? Jak się bestie rozeżrą, gotowe i drzewo podgryźć, a wtedy zginę«.



Przypomniałem sobie wówczas, że mam akurat pięć naboju, to jest tyle, ile było wilków, chociaż jeden tylko nabój był z kulą, loftek miałem na dwa strzały, na resztę śrut zajęczy. Była to dobra wróżba – dla każdego rozbójnika jeden nabój. I to mnie też – co prawda – tak pokrzepiło, że zamyslałem spróbować szczęścia. Trudno mi było ze strzelbą siedzieć niewinnie jak ptak na gruszy. Wymierzyłem dobrze w dwie świeczki najbliższego wilczura, a choć w ciemności, wytrzymałem tęgą chwilę. Jak nie wytnę, Panie święty – tarach!... Pod gruszą stał się jakiś zamęt okrutny, ale mało co widzieć mogłem, bo i ciemno, i przez gałęzie źle było patrzeć. Zmiarkowałem i tak przecie, że strzału nie zmarnowałem; wilk się przewalił, a kamraci – zamiast go ratować – zaczęli szarpać i tarmosić, przy czym słyszałem straszliwe warczenie i charkanie. Po tym wszystkim wilki drapnęły na bok w pole; ale za chwilę przyskoczyły znowu do drzewa; jak gdyby się wściekły, zaczęły pień z wielkim gwałtem podgryzać, tak że czułem wstrząśnienia na mojej gałęzi. Pomyślałem wtedy: »Jeżeli zgryziecie ten twardy orzech, to wam, moje szelmy, już na mnie chyba zębów zabraknie«. Srożąc się podskakiwały w górę, a jeden nawet na bok uskoczył, wspinał się, czy też przy pomocy skoku pochwycił w paszczę gałąź, co ku dołowi opadła, począł nią trząść i szarpać, aż konar pękł. Miałem chęć dać mu naukę, ale z powodu gęstych gałęzi nie mogłem go wziąć na oko; tym trudniej zaś było strzelać do wilków tuż pod gruszą będących; szkoda mi było marnować naboje. Przeziębnięty, prawie skostniały, wdrapałem się, jak można było najwyżej. Spojrzę po niebie, chwala Bogu, znać już tu i ówdzie gwiazdeczki, przeszły widać główne śniegowe chmury, zaczynało się przecierać, pogoda następowała. Opatrzyłem strzelbę i szepcząc pacierz, wlepiłem oczy w ziemię. Teraz już mi się nie migało przed oczyma, śnieg bielił się wyraźnie i wyraźnie także czerniały cielska wilków. Strzelać jednak prosto z góry na dół nie było podobna; byłem bez oparcia żadnego i otoczony gałęziami na wszystkie strony. Wściekłość też wilków zmaląła, bo nie słychać było już takiego zgielku, jak przedtem. Dopiero jeden z nich jak zacznie wyć, a inne za nim – to cieńszym, to grubszym głosem. Niech Pan Jezus broni, co też to była za kapela!...

Wypogodziło się, śnieg teraz błyszczał i okolice widziałem daleko. Było mi rażniej w duszy. Wziąłem na cel największego muzykanta, wypaliłem... Wilczysko jak bomba podskoczyło w górę, zwracając ku mnie błyszczące ślepie... Poznałem go wtedy, był to wilkołak... Puścił się w pole ku wąwozowi, a za nim popędziło trzech innych jak za wodzem. Nie miałem czasu nabić strzelby na nowo. Na placu pozostał tylko wilk zwalony na śmierć od pierwszego strzału”.

Biedny Szymon ciężko odchorował opowiedzianą tu przygodę. A nie było to ostatnie jego spotkanie z wilkołakiem. Potwór ten najniespodziewaniej przebiegał nieraz drogę w poprzek, kiedy strzelec nasz zwiedzał knieje; innym razem znowu ukazał mu w gąszczu osiwiąłą paszczę, uzbrojoną w długie zębce i połyskującą parę wściekłych oczu.

Nadnarwiański wilkołak już to łączył się z gromadą wilków, już też pojedynczo pędził samotne życie w kniei. W roku 1866 dobrał on sobie był małżonkę, która go obdarzyła jedynym potomkiem płci męskiej. Szymon dobrze wiedział o owych związkach, ale nie lubił o tym nawet wspominać. I chociaż zawsze zabierał młode wilczęta, zrodzone w kniei podległej jego rewirowi, jednak tym razem brakło mu skwapliwości i nie kusił się bynajmniej o zdobycz.

Los atoli okazał się dla wilkołaków surowym i sprawił to, czego strzelec Szymon nie chciał dokonać z powodu swej zabobonności. Niejaki Wicek Soboń, czternastoletni pasterz krów i koni, zapuszczał się często w bór, mając zamiłowanie do poszukiwania gniazd ptasich. On to przypadkiem natrafił na młodego wilkołakowicza, który iż był jeszcze w wieku niemowlęcym, nie zdołał pod nieobecność rodziców założyć skutecznej opozycji i został zupełnie po ludzku anektowany. Przyznam się, że była to czarna niewdzięczność rodzaju ludzkiego, zważywszy okoliczność, iż onego czasu wilczyca przyczyniła się tak wspaniałomyślnie do założenia Rzymu.

Nad Narwią wypadki miały wprost odwrotny charakter, polski Faustulus wziął wilka w jasyr, a później stanął przede mną proponując handelek. Za marną cenę jeniec świetnego rodu, urodzony w przepyszej miejscowości, zmienił pana – przepraszam – przywłaszczyciela. Wiedziałem dobrze, co kupuję, gdyż z łaski Szymona byłem wybornie poinformowany o biegu spraw w kniei. Ale stary strzelec, gdy się dowiedział o wszystkim, co zaszło, przepowiadał smutne wypadki; zwłaszcza też Wickowi nie wróżył on szczęścia na tym bożym świecie. O ile zaś mogłem wyrozumieć z różnych kiwań głową, wzruszań ramionami, pomrukiwań, słówek rzuconych od niechcienia, to wieszczbę Szymona można by było sformułować w ten sposób: „Wilkołak mści się za doznaną krzywdę, a jeśli sobie kogo upatrzy, zmarnuje mu życie”.

Co się tyczy Wicka, mogę z góry zapewnić, że to opowiadanie wcale nie będzie wyzyskane na temat ziszczenia się przepowiedni Szymona, jakkolwiek efekt mógłby mieć powodzenie. Bo cóż kto winien, że Wicek został później dworskim fornalem, a potem ożenił się z jedyną córką zagrodnika z Brzezia i z czasem został spadkobiercą chaty, sadu, stodoły, wozu, czterech krów, pary koni i piętnastu morgów gruntu, nie licząc w to wszystko trzody chlewnej, jałowizny, psa, kota i kilkunastu królików?

W istocie, w parę dni potem wilki porwały chłopską czarną owcę, ale trudno to uważać za pełne świadomości uczucie zemsty. To samo mniej więcej wypada powiedzieć o zduszeniu pod lasem starej szkapy. Wypadki tego rodzaju miały zawsze miejsce w Małowieży i jej okolicach nad Narwią, a w czasach dawniejszych drapieżność wilków – podobnie jak ludzi – musiała być jeszcze większa. Szymon atoli złowrogo oceniał wspomniane fakty, a mnie szczerze i wymownie doradzał, abym zaniechał idei wychowania wilkołakowego syna, lecz już raczej puścił go do lasu, gdzie – mówił – „znajdzie on swoich”.

### III

Wilczek mój wzrastał. Z początku był dosyć niedołączny, podobnie jak maleńkie szczenięta – stawał nogi ociężale, często się przewracał, miał duży brzuch, wypukły z obu boków, kudelki pomięte, puchowate i miękkie. Przeważałem go Buta, co znaczy po sanskrycku istota żywa (od pierwiastka bhu – być, istnieć, rosnąć, żyć). Bez względu na legendarne swoje pochodzenie lubił namiętnie igrać z maleńkimi pieskami.

Zdaje się, że w tych najmłodszych chwilach życia nie miał w sobie poczucia różnicy gatunku; wilk i szczeniaki były wtedy jakoby jeden gatunek. Podobnie i maleńcy patrycjusze zabawiają się z synkami fernali, ekonomów, karbowych, a jednym i drugim nie zależy wówczas na tym, kto kogo rodzi. Mniemam też, że i dziatwa bezbożnych czerwonoskórców chętnie igrałaby z malcami chrześcijańskich Europejczyków; małe jakie Francuziątko bawiłoby się w najlepsze z Eskimosiątkiem. Jednakże w Małowieży stara ogarzyca Śpiewka, matka psich szczeniąt, zwietrzyła od razu pochodzenie Buty, a widząc go ze swoim potomstwem strojącego figle na poły wilcze, na poły psie, obwąchała najprzód troskliwie od stóp do ogona, potem najeżyła sierść na grzbiecie, a nareszcie ucięła dotkliwie w pośladek. Krzyknął i jęknął, zaskomlił żalonym wilczym dyszkantem mój wychowaniec; był to pierwszy cios, jaki otrzymał na łonie cywilizacji, co mówię – pierwszy policzek. Chwilowy impuls uczuciowy pobudzał mnie, abym surowo skarcił Śpiewkę, wprowadzając równouprawnienie między zwierzętami. Niebawem atoli przyszła mi na myśl filozofia i historia, pomyślałem sobie o tradycyjnej nienawiści ras, a nawet pobratymczych plemion. Wprawdzie w epoce wychowania przeze mnie Buty nie istniał jeszcze antysemityzm, ale Żydem pogardzali chrześcijanie już i wtedy. Otóż takie i tym podobne refleksje usposobiły mnie mniej wrogo względem ogarzycy. Pomyślałem był sobie: „Jak tu wymagać od zwierząt równouprawnienia, kiedy ono dla ludzi jest niedostępne. Niech mój wilk wcześniej pozna gorycz życia cywilizowanego, niechaj ma w historii swego żywota i tragiczne elementy”. Skończyło się na powiedzeniu Śpiewce moralnego kazania, któremu z mojej strony towarzyszyła pewna poważna gestykulacja. Mniej więcej suka zrozumiała, o co chodzi, jednak w imię swego psiego przesądu nie chciała się nigdy i za nic w świecie zgodzić, ażeby Buta w jej obecności igrał w wesołym towarzystwie niemowlęcego psiego pokolenia. Szanowałem w granicach mojej możliwości tradycję na tym punkcie. Niechajże i psom wolno będzie mieć przesady. Z drugiej strony, nie chciałem się dopuszczać oszustwa względem matki własnych dzieci, więc też nigdy nie pozbawiałem ich samowolnie macierzyńskiego wpływu na edukację. „Bo – myślałem sobie – przecież ona chyba lepiej ode mnie potrafi wychować swoje psięta”. Ale ilekroć Śpiewka oddaliła się od potomstwa, nie broniłem też szczeniętom i wilczkowi robić, co im się podobało.

Jakkolwiek Buta był młodszy wiekiem od psów, jednak zęby i w ogóle jego siły fizyczne, jako też inteligencja zwierzęca organizowały się u niego widocznie wcześniej aniżeli u kolegów i towarzyszy zabawy. Gdy się rozigrał, wpadał jakby w dziki szał i nielitościwie rozbijał wtedy psiaki. Kiedy już miał mniej więcej trzy miesiące, wspólne zabawy stały się niepodobieństwem; wówczas psy same unikały igraszek, a jeśli sobie pozwoliły czasem swawoli z wilkiem, to niebawem zmuszone były uchodzić skomląc i unosząc na skórze ślady jego zębów. Te zaś okoliczności wbijały im się w pamięć tak silnie, że w późniejszym czasie na widok Buty zmykały po kątach, tuląc pod siebie ogony.

Nie lepsze uznanie zyskał sobie wilk i u innych psów, dojrzałych w latach. I tak, ulubieniec mój, duży buldog duński, Jork, tolerował Butę jedynie przez wzgląd na jego

poufałe ze mną stosunki. Inny znowu wielki biały pies węgierski, z rasy owczarskiej – nazwiskiem Milord – nie przeszedł nigdy około wilka bez pomrukiwania, warczenia, wyszczerzania zębów, rzucania piorunujących spojrzeń i tym podobnych oznak niezadowolenia, gniewu oraz pogardy. Niepodobieństwem też było, aby w ważnej chwili spożywania darów bożych psy znajdowały się razem z wilkiem; zmuszony byłem unikać tego przezornie. Bo gdy się psy między sobą o kość pogryzą, to zawsze tylko swój swego pokaleczy, a potem się pogodzą; ale na wilka byłyby się one wszystkie jednogłośnie rzuciły i śmierć mu przedwczesną zgotowały.

Wycieczki w pole i do lasu odbywały się specjalnie pod moim nadzorem i kierunkiem; w takich razach wilk szedł przywiązany na łańcuszku, psy używały wolności. Jeżeli zaś chciałem dać swobodę wilkowi, musiałem psy w domu uwięzić. Trudne to jest położenie kierownika i wychowawcy w takim stanie rzeczy!

Skoro już Buta liczył jakie trzy kwartały wieku, wziąłem go był jednego dnia na przechadzkę wraz z węgryzmem Milordem. Nałóg i wspólna dola istot coś jednak znaczą na tej naszej planecie. Do pewnego stopnia można się żyć nawet z wrogiem. Na łące dałem wilkowi swobodę, co widząc Milord przyskoczył skwapliwie, a pomerdując poważnie swoim bogatym ogonem, starannie na wszystkie strony obwąchał Butę; ten ostatni parę razy jakby uśmiechnął się fałszywie, podnosząc do góry czarne wargi przykrywające mu zęby; po czym puścili się oba w zawody na harce po polu. Gonitwa trwała długo; wilk pędził za psem, przesadzając śmiało rowy; obaj się zziąjali, obaj wywiesili języki. Jeżeli Milord wietrzył co na ziemi, Buta przypadał do niego i także węszył. Chociaż nie mogłem z bliska obserwować, jak się to wszystko odbywało, wnoszę jednak, iż przy takiej to właśnie czynności tropienia i wietrzenia zaszło jakieś nieporozumienie między zwierzętami owymi. Nieporozumienie było grube. Usłyszałem tylko z jednej strony błagalny głos wilka, wołający o pomoc, kto w Boga wierzy, z drugiej – gniewny, imponujący krzyk Milorda. Pędzę, ile sił starczy przynosząc dla miłości zgody interwencję osoby, szpicrózgi ciętej oraz łańcuszka. Ujrzałem w trawie powalonego wznak Butę, pies zaś łapami przyciskał go potężnie do ziemi, zadając od czasu do czasu szarpiące razy. Wobec walki zachowałem się bardzo groźnie i piorunującym głosem wrzasnąłem na cywilizowanego tryumfatora:

– Milord, do nogi!

Pies, usłyszawszy nieubłagany głos kodeksu prawodawczego, natychmiast zdjął silne łapy z piersi przeciwnika i cały zapieniony, począł się cofać. Ale zaledwie popuścił ofiarę, gdy ta porwała się wściekle, a dopadłszy kudłatego karku wroga, zatopiła w nim wściekle zęby. Z kolei pies upadł na ziemię wskutek natarczywej napaści, a zupełnego ze swej strony nieprzygotowania. Nie było się co namyślać; wprowadziłem w ruch bat, ten czynnik pokoju, i zadałem wilkowi kilka razów dotkliwych, lecz wnet się przekonałem, że są na świecie skóry wytrzymałe, na których kije się łamią. Zbliżam się tedy, chwytam Butę obiema rękami za uszy i na bok odciągam. Zaledwie rozjąłem dwóch zapaśników i, chcąc rozjuszonego wilka przykuć na łańcuchu, popuściłem jedną ręką, gdy oto Buta zajadłe sięgnął paszczą do mego ramienia i zadał mi dotkliwą ranę. Prawdopodobnie był to odwet za ciosy wymierzone szpicrózga. Moich usiłowań w interesie zgody wilk nie pojął tak, jak pies i potraktował mnie niby wroga, przy czym uporczywie oponował przeciw zakuciu swojej szyi w łańcuch. Milord ciekawie, ale i niecierpliwie przyglądał się całej operacji poskramiania wilka; zdawał się on oczekiwać skinienia mego, aby po żandarmsku wziąć za kołnierz dzikiego towarzysza. Sądziłem, iż nie wypada szcuć pocziwym psem także pocziwego, choć zuchwałego wilka. Sądziłem, że każde zwierzę, mające za szeląg rozumu, musi ostatecznie zrozumieć taką szczerą politykę i odpłacić za nią tą miarą przywiązania, na jaką zwierzę dane w danych warunkach zdobyć się jest zdolne. Zupełnie innego zdania trzymał się strzelec Szymon, który

nie tylko, że był zwolennikiem *absoluti dominii*<sup>1</sup>, ale doradzał mi nawet dopuszczenie się haniebnego czynu:

– Niech pan tę bestię wypuści w pole i zaszczuje psami, nim dorośnie, bo z tego nigdy nie będzie pociechy.

– Mój Szymonie – mówiłem mu – cóż wilk temu winien, że się wilkiem urodził i nie na naszą pociechę?

Myśliwy wstrząsał ramionami, kiwał głową, przy czym uśmiechał się dosyć zarozumiale oraz lekceważąco.

Nie tylko psy i Szymon uczuwali wstręt do Buty. Nie lubili go także wszyscy służący we dworze i wszyscy chłopi w całej wsi. Kiedym przechodził w towarzystwie wilka, słyszałem mniej lub więcej głośno wypowiedane zdania:

– Widzicie go, jaka to psia wiara teraz spokojna! A do lasu, ha! Czujęm za mojego wilka upokorzenie, wstydzilem się także za ludzi, znosiłem cierpliwie te i inne jeszcze obelgi. Ale cóż robić? Nie można przeinaczyć wilka, psów, ludzi i wszystkich stworzeń. One się same przemieniają w ciągu czasu.

Największą nieprzyjaciółką Buty była kobieta, stara panna nazwiskiem Trukawska, ochmistrzyni dworskiego drobiu, oraz jej pomocniczka, rodzaj kurnikowego sekretarza, dziewczka Jagna. Pokazuje się, że wszelka na wpół cywilizacja jest jeszcze równie dzika, co i stanowcze barbarzyństwo. Tym się chyba tłumaczą nieokiełznane fanatyzmy, kłamstwo, pycha, zarozumiałość małych ludzi w wieku naszym, tak chępliwym z dzieł swoich. Cnota ludzka widocznie musi przejść przez te przywary, zanim się istotną cnotą stanie. Nie można tego odnieść do jednostek, ale do dziejów całych pokoleń. Przy czym godne jest uwagi, iż wspomniane przymioty nie tylko od woli człowieka nie zależą, ale go unieszczęśliwiają podobnie jak głupota. Jednostka przewrotna jest przez całe życie prześladowana i chłostana, często przez ludzi gorszych nawet od siebie. Nasz wilk, potomek rodu wilkołaków nad Narwią, nie był ani kłamcą, ani zarozumialcem, ani fanatykiem, a był jednak popychany i poniewierany przez wszystkich. Dlaczego? Trudno jest rozwiązywać doraźnie tak ważną kwestię. Ale zdaje się, że ludzie w wilku prześladowują i nienawidzą własną przewrotność. Zresztą nienawiść taka może pochodzić i stąd, że w prastarej religii człowieka wilk był także ubóstwiany, a każdy przesąd podminowany ściągą pioruny nienawiści w następstwie.

Buta, jak każde inne żywe stworzenie, urodził się pod pogodnym okiem słońca. Znam jego ojczyznę nad piękną rzeką i wśród pysznych krajobrazów. Mimo to wszystko, sądzone mu było na ziemi przekleństwo, jako szkodliwemu!... Nie wymienię tu stworzeń najszkodliwszych, bo przekleństwo może od nich zależeć.

Pani Trukawska w poufnych rozmowach z Jagną oczerniała Butę w sposób nielitościwy. Jagna dolewała oliwy do tego zarzewia. Widziałem konspirację nie tylko przeciw wilkowi, ale i przeciw mojej osobie, zajmującej w społeczeństwie już i tak dosyć lekceważone stanowisko prywatnego nauczyciela domowego. Razem więc z wilkiem znosiłimy prześladowanie od ludu. Nie w moim, ale w Buty interesie chciałem raz tłumaczyć pani Trukawskiej zasady demokratycznej etyki, atoli niewiasta owa ofuknęła mnie, że „chłop między ludźmi znaczy tyle, ile wilk między zwierzętami; smaruj jednego i drugiego miodem, nic nie pomoże: chłop – chłopem, wilk – wilkiem”.

„Trzeba się mieć na baczności!” – pomyślałem oczekując spokojnie biegu wypadków i starając się o utrzymanie harmonii z wilkiem, psami oraz ludźmi; wszyscy mieli własne przesady, na których opierali uczucie osobistej godności.

Właśnie wskutek swoich przesądów Buta szybko posuwał wypadki do krańcowości. Z wiekiem rozwielniały się w nim wszystkie jego wilcze cnoty oraz przywary, a jedne i drugie Trukawska, jako też Jagna – łaskawie zapisywały na karb grzechów śmiertelnych, jak

---

<sup>1</sup> *absoluti dominii* – tu: władzy absolutnej panującego.

gdyby wilk był człowiekiem i miał obowiązek znać dekalog oraz uczyć się na pamięć „Małego katechizmu” ks. Putiatyckiego. Aż nareszcie nadszedł dzień pamiętny, w którym stronnictwo, spiskujące przeciw wilkowi, stanęło na stopie wojennej. Rzecz tak się miała:

Buta przez cały dzień wylegiwał się w ciemnym klombie na dziedzińcu. Tam zatopiony on był w jakimś dumaniu, którego naturę – o ile się dało – poznałem. Do klombu przychodziły gwary ze świata stanowiącego otoczenie. Słysząc tu było rzenie koni, szczekanie psów, rozmowy ludzi, gęganie gęsi, gdakanie kur, nawoływanie się indyk, perlic, pawi, kaczek, kwik prosiąt itd. Buta słuchał tego wszystkiego z jak największą uwagą i kombinował sobie stąd może obraz zewnętrznego świata oraz przemyślał nad zajęciem w tym świecie pozycji odpowiedniej dla siebie i swoich wymagań. Niekiedy zdrzemnął się, ale gdy mu na nosie usiadła mucha lub komar, przerywał sen i obserwował dalej, nastawiając bacznie uszy, a w ślad za spostrzeżeniami uszu posyłając na wszystkie strony i wzrok bystry.

Karmiłem go dość obficie i głównie raz na dzień po obiedzie; wtedy to pożerał parę talerzy mięsa oraz kości, resztek pozostających z obiadu. Na zawołanie: „Buta!” zrywał się i pędził co tchu z klombu na ganek, wiedząc dobrze, iż się go wzywa po odebraniu racji. Żarłoczność wilka była duża; połykał nieraz całe kości, więc też niejednokrotnie musiałem robić operację, wyjmując mu za pomocą nożyczek kość utkwioną w gardle. Przypuszczam, że w stanie dzikim wypadki tego rodzaju przytrafiają się wilkom mniej często.

Cokolwiek bym mógł powiedzieć na rzecz mojej dbałości i w ogóle pedagogicznych zabiegów gwoli uprzyjemnienia wilkowi połykania różnych gorzkich owoców cywilizacji, muszę jednakże przyznać, iż zapewne niezupełnie dobrze zbadałem jego szeroki apetyt oraz dobrze uregulowaną funkcję trawienia. Albowiem wspomniane powyżej samotne rozmyślania wilka w klombie i rozważania gwarów świata zewnętrznego doprowadziły go były do nadzwyczajnie radykalnego przedsięwzięcia. Tuż za klombem, ku polu, znajdowała się bardzo piękna łączka, porośła bujną trawą i skropiona strumieniem. Jak zauważyłem, Buta w tę stronę najczęściej posyłał swoje słuchy, a za słuchem zwracał też pełne dziwnej pożądlivosti oczy. Zdaje się, że i delikatny zmysł wilczego węchu odgrywał niejaką rolę w tych zwiadach a rozmyślaniach. Gwar z łączki zaledwie dający się słyszeć dla mnie, człowieka, wśród największej ciszy, dla Buty był już jakimś upajającym koncertem, którym on się lubował po całych dniach; aż wreszcie wytworzone na drodze tego zachwyty uczucia i skojarzone z nimi wyobrażenia popchnęły go na drogę czynu. Na strumieniu na łączce codziennie pluskały się i prowadziły poufale spokojną pogwarę kaczki dworskie, istne oko w głowie panny Trukawskiej i jej powiernicy Jagny. Owo, zachowywanie się kaczek, pływających po strumyku, nie uszło uwagi Buty, jakkolwiek terytorium jego znajdowało się w odległości jakich trzystu kroków od łączki. Gdy się już dobrze nasłuchiwał kaczyczych rozmów, które może i rozumiał, zdecydował się na czyn. Pewnego więc dnia przed samym wieczorem zeszedł z klombu na łączkę i położył się cichutko przy samej ścieżce, którą kaczki wydeptały i po której codziennie rano z kurnika szły do strumienia, a w wieczór tędy również do kurnika powracały. Zarówno panna Trukawska, jak i Jagna potrzebowały tylko z daleka zawołać: „Taś, taś, taś!” a kaczki zaraz, jak która mogła, gramoliły się z wody na brzeg i dalejże pędzić, co im kaczyczych sił starczyło. Posiadały więc i kaczki pewną ilość zdolności, którą ludzie zowią wnioskowaniem. Cóż dopiero mówić o wilku, zwierzęciu wyższego rzędu?

Buta już w klombie skombinował sobie, że kaczki muszą wracać do domu wieczorem i że będą przechodziły po ścieżce; według tego ułożył plan kampanii i we właściwej porze zaczął się przy kaczyczym gościńcu. A było tam ptactwa przeszło sto sztuk; szły sznurkiem przechylając się na krótkich nóżkach, to na prawo, to na lewo, a paplając jakby salonowe towarzystwo w Warszawie po francusku. Dzikie kaczki zwietrzyłyby wroga swej krwi w zasadzce, ale inteligencja kaczek domowych zmarniała; pozostało jej tyle tylko, ile potrzeba, aby się utuczyć na pieczeń dla człowieka. Straciły one węch, słuch, a po części i wzrok:

zmysły ich się stępiły. Przecież za nie panna Trukawska i Jagna patrzyły, słuchały, wietrzyły i myślały. Buta z zadowoleniem przyglądał się sunącemu po ścieżce kordonowi; może on i liczył sztuki, a najprędzej upatrywał najpulchniejszej. Zresztą przydługi namysł mógł mieć miejsce z tego powodu, że wilk po raz pierwszy miał się dopuścić rozboju na własną rękę. Każdy się namyśla w takich razach. Więc też Buta porwał dopiero jedną z ostatnich kaczek, wyskoczywszy nagle z ukrycia, po czym szybko oddalił się z cennym łupem w gęstą trawę i tam go spożył.

Przelekły się kaczki okrutnie; ostatnie z nich wydały krzyk trwogi, który rozszedł się natychmiast po całym szeregu. Co która miała w sobie tchu, rwała do kurnika. A kiedy wpadły przed kurnik, nie uspokoiły się bynajmniej, ale sprawiły wśród rozmaitego drobiu rwetes nie lada. Wystraszyły niezmiernie sangwiczne kury i perlice, nawet flegmatyczne indyczki powyciągały swe szyje, spoglądając dokoła pełnymi niepokoju oczyma. Najwięcej zaś temu popłochowi nadał paw długopióry, który porwawszy się w górę, frunął na dach kurnika i tam zawołał: „Ewuś, ewuś!”

Zajście tego rodzaju uważnym okiem oceniła Jagna.

– Coś się takiego stało – mówiła. – Wlałam oto kaczkom do koryta naci buraczanej ze serwatką, a te psienogi jeść nie chcą, ale, jakby się wściekły, uciekają do kurnika.

Panna Trukawska, jako osoba rządząca się raczej głębokim, czystym myśleniem niż powierzchownymi spostrzeżeniami, bodaj czy nie zgromiła nawet Jagny za jej przypuszczenia.

– A cóż by się znowu stać mogło? Czy mnie to tu nie ma przy drobiu, czy co? Kaczki jak kaczki, głupie stworzenia i koniec. Leci to a samo nie wie, dokąd.

Taka mądra perswazja i wykład rzeczywistego stanu rzeczy wystarczyły Jagnie najzupełniej, przekonały ją i uspokoiły do szczętu. Bo w samej rzeczy, cóż by się kaczkom mogło stać złego w dzień, kiedy Trukawska oraz Jagna czuwają pod kurnikiem? Co innego w nocy, kiedy oba te duchy opiekuńcze zasypiają, wtedy tchórze, kuny, lisy, szczury, a także niektórzy chłopci, słowem – różni złodzieje mogą drób niepokoić, a nawet przywłaszczają sobie. Toteż w myśl powyższej argumentacji obrachunek drobiu w małowskim kurniku odbywał się zawsze o piątej godzinie rano latem, a o ósmej zimą. W kurnikach ościennych dworów powszechnie przyjęta była metoda wieczornego rachowania, czemu Trukawska nie omieszkała bardzo surowo przyganiać.

Nazajutrz więc rano przy obrachunku drobiu okazał się brak jednej kaczki. Liczyła panna Trukawska, liczyła Jagna i znowu panna Trukawska, i znowu Jagna; kaczki jak nie ma, tak nie ma. O fakcie takiej doniosłości toczyły się przez cały dzień rozmowy w kuchni. Przypominano tu sobie różne dni w roku, kiedy zginęła kura czarna, kiedy – jarzębata, kiedy przepadła gęś, a kiedy gąsior, indyk itd. Przy tej sposobności wyliczano także rozmaitych domniemanych i rzeczywistych złodziei zarówno ze świata ludzi, jak i państwa zwierząt. W obecnej chwili najczęściej podejrzeń padało na Bartka; pastucha świń, a to nie z powodu, żeby go kiedy schwytano na gorącym uczynku, ale ponieważ chłopak ów był zupełnie głupi i niczemu nigdy nie zaprzeczał. Fukala na niego panna Trukawska, lżyła go Jagna, kucharz, lokaje, pomywaczka – wszyscy, kto chciał. On zaś cierpliwie i obojętnie znosił wszelkie zarzuty, wyrzuty, obelgi i obwinienia, a nawet niekiedy uśmiechał się dobrotliwie. Panna Trukawska, bezpośrednia zwierzchniczka Bartka, twierdziła dosyć stanowczo, że chłopak ten jest tylko „z głupia frant, ale szelma wie, jak trawa rośnie”. Rzeczywiście pasterz świń był roztropnym chłopcem i w zawodzie swoim niepospolicie biegłym. Do pewnego stopnia przypominał on Eumajosa, świniarza sławionego przez Homera. Jako człowiek fachowy, z gorliwością poświęcał się obowiązkom powołania, dosyć trudnego ze względu na świnię, i na tym punkcie nikt mu imponować nie zdołał. Wiedział on dobrze, które zwierzę z trzody jest uparte, a które złośliwe, szkodne itd. Jako człowiek uczuwał też dla jednych osobników

predylekcję, do innych był źle uprzedzony. Zdarzało się nieraz, że któraś nierogata sztuka ni stąd, ni zowąd wyrywała się z gromady i jak szalona puszczała się w cwał ku cudzemu zbożu lub kartoflom; wtedy Bartek pędził jak wiatr za świnia, gonił, gonił, aż wreszcie zwierzę z sił opadło i pozwoliło już sobą powodować. Ponieważ atoli chłopaczyna nigdy się nikomu nie odcinał, a mimo to dawał często dowody znacznego sprytu, więc i kucharz, pan Drożdżewicz, trzymał z panną Trukawską, mówiąc, że Bartek jest „z cicha pęk”. Od tak gruntownych podejrzeń do posadku o złodziejstwo na kuchni dworu małowieskiego było niedaleko. Więc też panna Trukawska, chcąc poniekąd i z siebie zrzucić odpowiedzialność za utratę kaczki, wsiadła z krzykiem na Bartka:

– Słuchaj no, ty mądralo – wołała – kaczka dworska zginęła. Wiesz ty, chamie, czym to pachnie?

– A bo co? – bąknął Bartek uśmiechając się naiwnie.

– Widzicie go, uśmiecha się jeszcze; ukradł kaczkę, pewno w polu upiekł i pożarł. Jaki mi piesek bonoński. Cóż to ja dla ciebie będę pański drób chowała?... Ty, ty huncwocie jeden!... Poczekaj, powiem ja to panu ekonomowi.

Bartek podrapał się tylko w głowę. Aż tu dopiero jak na niego nie wsiądzie Jagna, za Jagną pomywaczka, dziewczka od krów, kucharka, co dla czeladzi strawę warzy, jej pomocnica, cały kuchenny fraucymer.

– A ty taki, ty owaki! Ty maszkaro!... wołano zewsząd.

Bartek ledwie zdołał usta otworzyć, zakrztusił się, chciał powiedzieć: „Bójcie się Boga, niesprawiedliwe kobiety!”, kiedy mu zagrożono ożogiem, pogrzebaczem, warząchwia, polanem drzewa i różnymi narzędziami kuchennymi. Wymknął się więc i poszedł rozmyślać nad swym losem do obory. Ale i tam już rozniosła się wieść o jego niegodziwym uczynku, a skotak, wolarze – każdy, kto koło niego przechodził, to splunął, to wyrzucił jakieś przekleństwo lub obelgę.

Na drugi dzień zginęła znowu jedna kaczka. Tym razem oburzona wielce panna Trukawska zaniósła już skargę do ekonoma. Ten zaś wezwał przed siebie zalękłego Bratka Chłopak na widok straszego majestatu władzy stracił najzupełniej przytomność i trząsał się jak osika, kiedy ekonom groźnie do niego przemawiał:

– Cóż to ty sobie myślisz, łajdaku? Jeszcze tego brakowało, żebyś szarpał pański majątek? Ja ciebie tu zaraz nauczę!... – Przy czym ujął chłopca za ucho, tak że ten jęknął z cicha:

– Boli!

Ekonom ciągnął dalej:

– Od jutra nie masz służby we dworze! Ruszaj precz, gałganie! Biedny Bartek nie czuł wcale swojej niewinności, owszem, zdawało mu się, że jest winnym. A gdzieżby on się śmiał tłumaczyć wobec tak wysokiej instancji?

Chłopiec istotnie wyglądał jak gałgan. Nogi miał czerwone, pokaleczone od kamieni, podrapane od rżyska, pokłute od cierniaków, pełne blizn, rysów, nawet krwi świeżo przyschłej. Głowy jego nie tknął nigdy grzebień, spod włosów rzadkich widać było strupy; mydło też, nie postać na rękach, karku i twarzy opalanej jak węgiel. Chociaż liczył blisko osiemnaście lat życia, wyglądał jednak na dwunastoletniego dzieciaka; był niezmiernie wąty. Nosił na sobie kawałek kitli, której brakowało jednej poły, a spod której dołem ukazywały się źle przyodziane i chude uda, górą zaś pod dziurawą jak przetak koszulą widniały opieczone przez słońce piersi. Głowę ubierał w kapeluszek pozbawiony barwy oraz formy, z dziurą w środku i obszarpany dokoła. Największą wagę przywiązywał do kozika, to jest nożyka składanego, z żółtym drewnianym trzonkiem, a zawieszzonego na rzemyku u pasa. Bartek miał starą matkę komornicę, która regularnie zabierała całą jego pensję, nie troszcząc się o



przyodziewek syna. Wypędzony z dworu, wzgardzony, przybył na łono rodziny; ale tu też o mało że nie odebrał basarunku.

– Wychowałam takiego drağa – wołała trzęsąc się ze złości komornica – i nigdzie, nicponiu, miejsca zagrać nie możesz! Tymczasem Buta znowu spożył kaczkę trzecią, czwartą i byłby zapewne ciągnął dalej korzyści z tego samego źródła; ale Jagna poczęła teraz na serio myśleć nad całością i bezpieczeństwem stada kaczek. Puściła się ona w łąkę i tutaj poznajdowała rozrzucone pierze nieboszczyków; ponieważ zaś wilk wydeptał sobie był własną ścieżkę do swego legowiska, przeto bez wielkiego natężenia władz myślenia, na zasadzie powyższych przesłanek, łatwo już dał się wyprowadzić wniosek ostateczny. Jagna pozbierała starannie różne pierze, poznane przez nią jako należące do rozmaitych, nienaturalną śmiercią zgasłych kaczorów oraz kaczek i dzierżąc te dokumenty w rękę, stanęła na progu kuchni.

– Widzita – mówiła – posądziła to świniarza, to fornali, a to ta psia jucha wilk narobił tyle szkody i posądku.

– Ano – zawołała kucharka – czy to ja nie mówiłam, że wilk jeno kiedy szkody narobi i koniec.

Niebawem ciekawa publika otoczyła Jagnę. Przyzwano do kuchni w sposób gwałtownie nagły pannę Trukawską, która właśnie w swoim pokoiku stawiała kabałę i wypadał jej zawsze jako szkodnik walet pikowy, z tego zaś wносиła ona prawie na pewno, że w braku Bartka winowajcą musi być fornał Sobek, człowiek bardzo hardy jak na fornala i chłopca. Sprawa kradzieży kaczek miała tego dnia na nowo wytoczona – i to u władzy wyższej niż ekonom, bo u pana rządcy; nie dziw przeto, że Trukawska za pomocą kabały starała się zbadać stan rzeczy i czerpnąć pewne, niezbite poszlaki przeciw obwinionemu. Już była na dobrej drodze, kiedy nagle wezwano ją do kuchni. Wbiegła, dzwoniąc z daleka pękiem kluczy, wysłuchiwała sprawozdań „Jagny, przyjrzała się uważnie zebranemu pierzu i rzekła tonem niewiasty, mającej za godło życia: „niczemu się nie dziwić”.

– Moi państwo, dałabym była głowę, że ten podły wilk stanie się przyczyną wielkiego nieszczęścia w domu. – A w myśli dodała: „Nie na próżno w kabale stał walet pikowy”.

– Chwalić Boga jeszcze – zagaił poważnie kucharz – że się na tym skończyło; cztery kaczki niewielka parada.

– Szczęście, że psia noga nie udusił karmnego wieprzka – rzekła kucharka.

– Albo i krowy – przemówiła dziewczka od krów.

– Oho! Taki słowik to lubi dusić i kobyłki – skonstatował dowcipnie lokaj Szymon.

– O la Boga żywego! – krzyknęła Jagna, przerażona tym strasznym obrazem poduszonych w imaginacji tylu pożytecznych zwierząt.

– I co tu teraz robić z tym fantem? – odezwała się widocznie zakłopotana Trukawska.

– Jak to, co robić? – rzecze pan Drożdżewicz z determinacją, męża stanu. – Trzeba całą sprawę przedstawić dziedzicowi, bo to nie żarty, wilk w domu. Żeby to jeszcze zwyczajny wilk!... – dodał po namyśle i z miną tajemniczą. – My tu wszyscy ludzie życia nie jesteśmy pewni... – Mówiąc to wdział na głowę białą szlafmycę, zrobił gest kręcąc głową, a rękami wykładając jakoby na wierzch groźne położenie. Jęknęły wszystkie kobiety głosem przerażenia i lękliwie spojrzwały ku drzwiom otwartym od podwórza. A kucharz dodał jeszcze: – Nawet psy nie trzymają z takim stworzeniem!... Wiem ja o tym dużo, wie też dosyć Szymon strzelec. – I z tymi słowy stuknął od niechcenia w stół dużym nożem kucharskim. Poważny głos i gestykulacja sprawiły ogromny efekt.

– O mój Jezusiczku najmilejszy! – szepnie ostatecznie sterroryzowana i prawie płacząca ze strachu, najnaiwniejsza w całym zgromadzeniu Jagna. – A niechże panienska co rychło polecą do dziedzica i wytłumaczy, co tu pan Drożdżewicz gadają.

Panienką nazywały dziewczki pannę Trukawską, która, choć liczyła już pięć krzyżyków, bardzo jednak lubiła odbierać ten pieszczotliwy przydomek od swoich podwładnych. Nawiasem mówiąc, fernal Sobek nie miał względów i z tego także powodu, że przemawiał, po prostu „jejmość”.

Wieść o zbrodni Buty rozeszła się lotem błyskawicy po małowieskim dworze, a z nią razem krążyła także nieobjaśniona, tajemnicza zagadka o jego pochodzeniu i naturze. Na piętrze rozmawiały o tym panny służące z boną, w czym znać było wyraźnie palec Trukawskiej i magnetyczny wpływ Drożdżewicza. Na dole w kredensie lokaje i pokojowi chłopcy trwożliwie, a jednak nienawistnie spoglądali ku klombowi, będącemu schronieniem Buty. Nawet guwernantka, Francuzka, osoba wyższa nad przesady, starała się dnia tego unikać ze mną rozmowy jako z człowiekiem mającym jakieś stosunki mocno skompromitowane w narodzie. Ja sam nie wiedziałem jeszcze o niczym. Dopiero po południu, chłodem, wzięwszy wilka na łańcuch, szedłem na przechadzkę i widziałem, że służba dworska wyległa do drzwi, do okien; poporzuciała robotę, gapiąc się na nas, jakby to było osobliwe widowisko. Gdym przechodził przez wieś, dzieci uciekały z drogi, porzucając zabawę, a baby przyglądały się z okien. Uderzyło mię to wszystko, bo przecież mieszkańcy Małowieży już się byli oswoili z widokiem Buty. Wilk zachowywał się karnie, głos mój wywierał już na niego wpływ większy. Gdym dnia owego wracał z przechadzki, spotkałem za wsią na drodze Szymona, który od dworu zdążył ku lasowi. Przywitał mnie grzecznie, ale widocznie miał zamiar uniknąć rozmowy, ledwie go zatrzymałem mówiąc:

- Cóż to, Szymonie, chcecie już, widzę, zapomnieć o naszych przyjacielskich stosunkach?
- Ej, nie... – odpowie strzelec. – Ale – dodał szepcząc mi na ucho – niech mię pan posłucha i tego łajdaka zastrzeli albo zwiąże i w stawie utopi, bo będzie z tego nieszczęście we wsi.
- Co też mówicie, Szymonie!...
- Ja to panu powiadam! – twierdził ze stanowczością Szymon. – Cóż to, mało już lamentu we dworze narobili? A co będzie dalej? Niech ręka boska broni!
- A cóż on takiego zrobił? Nic nie wiem.
- Ba, ludzie panu nie powiedzieli jeszcze? A to tam piekło we dworze kaczek huk nagineło, Bartek pastuch już przez niego ze służby wyleciał. Co się jeszcze stać może, Bóg raczy wiedzieć – rzekł strzelec wzdychając.

Jakby na nieszczęście Buta przy tych słowach Szymona wyszczerzył zęby i warknął na starego. Ja sobie to tłumaczyłem, iż przyczyną warknięcia była szczególnie uderzająca postać myśliwego, jego osobliwe ubranie, jako też ciągle zbliżanie się do mego ucha i poszeptywanie. Nosił bowiem Szymon na sobie w lecie i w zimie lisią czapkę olbrzymich rozmiarów, w której zatknięte były krzywe jak sierpy piórka cietrzewi, jarząbków, srok, kruków itd. Miał na sobie krótką kurtkę barwy niegdyś ciemnozielonej, ale wypłowiałej przez wpływ promieni słonecznych oraz deszczów tak, że przybrała odcienie różnych stopni żółtości, zieloności, brunatności, przy czym zrudziała i poszarzała. Przy tej kurcie był niegdyś kołnierz futrzany zajęczy, lecz sierść z niego zupełnie zniknęła, a skóra goła pomarszczyła się tworząc około głowy krezę bardzo sztywną. Miejsce guzików zastępowało tu skórzane sznurowadło. Dolna część toalety Szymona zaledwie że zasługiwała na nazwę ubrania. Były to jakieś resztki rajtuzów, kryjących się w cholewach butów, z których każdy odznaczał się inną miarą wysokości; bo gdy jedna cholewa sięgała za kolano, druga opadała na łydki, tworząc niby fantastyczny kosz na nogę. Widać ciągle tułanie się strzelca po wodach oraz bagnach sprawiło, iż buty jego robiły wrażenie obuwia z gładkiego twardego; przypominały one miejscami z barwy już to maść konia kasztanowego, już stary parkan drewniany lub zaśniedział samowar. To obuwie było w najrozmaitszych miejscach pozszywane i pościągane szpagatem. Niegdyś były obcasy nadały napiętkom kierunek zbyt odległy od pionowego, a tak zwane nosy zadzierały się w górę. Z końców owych nosów oraz

spod podeszew wyglądały żdzbla połamanej słomy, czyli wiechcie, stanowiące dla nogi tarczę przeciw wilgoci, upałom i mrozom. Na jednym ramieniu zawieszał Szymon torbę borsuczą, obarczoną mnóstwem sznurków i sznureczków, służących do przyczepiania ubitej zwierzyny; wisiały też przy torbie różne grubsze i cieńsze druty, służące jako przetyczki i zatyczki w celach mniej wiadomych ludziom nie obeznanym z fachem łowieckim. Na drugim ramieniu głośny ten na całą okolicę myśliwy zaszczynie dźwigał strzelbę, a raczej słabą podobiznę strzelby. Stanowiła ją gruba rura żelazna, osadzona w kawałku drzewa dębowego, nie ociosanego nawet należycie, a przytwierdzonego do lufy w różnych miejscach kawałkami skóry lub grubymi sznurkami, które się na końcach strzępiły we frędzle i kutasy. Do tego kostiumu, godnego jakiego rozbójnika z wieków średnich, dodajmy postać niską, krępa, o szerokich barach, krótkiej a grubej szyi, na której osiadła wielka głowa z twarzą barwy na przemian czerwonej, pomarańczowej lub fioletowej. Pod małym płaskim nosem naszego bohatera sterczał jeden wąs, a raczej kosmyk siwych i rudych włosów, podobny do zajęczego ogona, który nie spadał na wargi wypłowiałej burakowej barwy, ale zakrzywiał się do góry hakowato i jakby z nozdrzy wyrastał. Spod lisiej czapy wyglądała para małych, burych oczek, które nadzwyczajnie żywo poruszały się na wszystkie strony. Nie tylko pies, wilk lub inny zwierz, ale człowiek musiał wydać jakiś głos zdziwienia czy przestachu, widząc przed sobą po raz pierwszy tę postać na poły śmieszna, a na poły straszna. Nic więc dziwnego, że Buta warknął dosyć złośliwie, nie wiedząc, z kim ma do czynienia. Zwłaszcza też, że i woń tytoniu, gorzałki oraz prochu strzelniczego, którymi Szymon był cały przeniknięty, musiała mocno drażnić delikatne węchowe błony wilka. Strzelec źle przyjął warczenie Buty, spojrzął na niego wzrokiem pełnym zarówno podejrzliwości, jak wzdąrdy oraz nienawiści, skłonił mi się dosyć obojętnie i poszedł do domu.

Teraz dopiero, będąc poinformowanym przez Szymona, z rozmaitych źródeł zebrałem troskliwie wszelkie wiadomości dotyczące postępowania wilka i poznałem nagą prawdę. Co prawda, przekonałem się, że wilk oswojony jest szkodnikiem, ale że szkody, których się dotąd dopuścił, nie były proporcjonalne do nienawiści; jaką przeciw sobie obudził.

Czy podobna jest w tym stanie rzeczy oswoić dzikie zwierzę? A jeżeli wilkiem będzie tu nowa jakaś idea, czy los jej nie będzie zupełnie podobny? Czy psy i wilki nie są to plemiona pobratymcze, a ludzie czy nie przedstawiają się jako interesy stronnictw, koteryj osób, jako przesady i fanatyzmy itd.? Czy wilkami wreszcie nie są rozmaite dzikie ludy, które niby to ciągnie się gwoli ich szczęścia na łono cywilizacji, a tymczasem giną one nieuchronnie zarówno wskutek przesądów cywilizowanych swoich bliźnich, jak i własnych gatunkowych przymiotów nabytych w ciągu wieków? Co się tyczy idei wilkołaka, nie jest że to prastary mit, stanowiący tradycję przekleństwa rzuconego na cały gatunek istot, których losem ostatecznym musi być zagłada? Wszakże jedne i te same istoty pielęgnują zgodę i braterstwo, nie zaniehbując jednocześnie nienawiści, obłudy i złości. Któż zdoła zresztą zaprzeczyć, iż wszystko, co przechodzi przez alembik ludzkiego umysłu lub uczucia, jest nieprawdą? Człowiek bowiem ma tylko mały i jedynie swój własny świat, nie przeznaczony bynajmniej na siedlisko prawdy. Ta ostatnia znajduje się poza nami w realnych stosunkach bytu. W zwierciadle zaś naszej duszy odbija się świat egoistyczny, ludzki. Nie jest to świat istotny. Dopiero prawdą jest pojęcie takiego stosunku człowieka do świata. Nie w poczuciu dumy czerpie istota ludzka najwyższe duchowe siły, ale w cichym i skromnym poczuciu swej małości.

Najmniejszą rzecz zrobić dobrze – jest trudno. Aby iść naprzód, trzeba być oględnym, jeżeli krok nie ma być zmarnowany. Na tym punkcie rodzi się oportunizm, którego musiałem się chwycić, aby nie zgubić wilka, nie drażnić jego stosunków z psami; nie narazić go na śmierć z ręki pierwszego lepszego dworusa, a przy tym utrzymać własny dobry stosunek z psami, ludźmi i wilkiem. Czyż mogłem mieć widoki powodzenia idąc na przebój? Wszakże psy mogły stracić do mnie przywiązanie, a ludzie już zaczęli mnie lekceważyć. Tylko Buta

był w porządku; stał on się oswojonym zwierzęciem, o ile wilk nim stać się może. Gdy jednak zewsząd brzmiały głosy: „Zabij, otruj, utop, rozstrzelaj”, musiałem coś zrobić dla przesądów mego społeczeństwa, aby w nim wyżyć. Przeprowadziłem więc Butę do drugiego klombu na dziedzińcu, położonego z dala od łączki, a przylegającego do stodoły. Myślałem sobie: „Nie trzeba ani wilkowi, ani ludziom dawać sposobności, aby byli źli”. Wilkowi więc stworzyłem świat cichy, wśród którego nie było pola dla łakomstwa i drapieżności. Dla ludzi zrobiłem tyle, że wilka przywiązałem na łańcuszku do pnia drzewa. Takie zastosowanie się moje wywarło dobry wpływ na publiczność. Jeżeli ludzie są niechętni dla jakiejś sprawy, wtedy mówią, że do tej niechęci mają prawo; a jeżeli ich złości stanie się zadość, powiadają, że ich prawo ma zadośćuczynienie.

Była właśnie pora żniw, zwożono syropy z pola do stodoły położonej na wzgórzu. Z początku Buta gryzł swój łańcuszek, gdy go atoli usiłowania zawiodły, topił zęby w pniu drzewa akacjowego. Osiągnął stąd pewną satysfakcję, jednakże gryzienia zaprzestał i począł się godzić ze swoim losem. To sobie leżał przypadłszy do ziemi, to powstawał na wszystkich czterech nogach, to znowu na przednich tylko. Najczęściej znajdowałem go w tej ostatniej postawie, wsłuchującego się przy tym, jak i poprzednio; w różne odległe głosy. Ze stodoły dochodził tu gruby, jednostajny głos mazurskiego parobka liczącego snopy: „Jeden dwadzieścia, dwa dwadzieścia, trzy dwadzieścia” itd. To znowu przejeżdżał koło klombu wóz, ciężko naładowany snopami, który trzeszczał i skrzypiał w różnych swych częściach pod naciskiem ciężaru. Na koniach brzęczały łańcuszki naszyjników i rozmaite żelazne przybory; w powietrzu świsnął niekiedy przeciągle długi bicz fornala lub rozległ się głos „Wio!”..., na co konie odpowiadały parsaniem. Gdy znowu próżny wóz wyjeżdżał ze stodoły, brzmiał głośny turkot około klombu, rozlegało się trzaskanie i strzelanie z bata, a czasem – niby akompaniament – słychać było rzenie klaczy, zaniepokojonej po drodze nieobecnością żrebaka, co pozostał w stodole, strojąc figle i psoty na gumnie. Usłyszawszy atoli głos stęsknionej i troskliwej matki, żrebczyk puszczał na wiatr grzywkę oraz wiotki ogonek i w susach a skokach przelatywał, tętniąc nóżkami, rżąc cieniutkim głosem, niedaleko od ukrytego w gęstwinie Buty. Wtedy wilkowi zmieniała się barwa oczu, które pały i stawały się lśniące jak szmaragdy; wtedy przywarowywał do ziemi i czał się w stronę żrebięcia. Dawały się też niekiedy słyszeć ze stodoły różne śpiewy dziewczek: „Dana, jeno dana! Oj dana, dana, dana!” Czasami znowu grzmiał donośny i groźny głos karbownika lub dochodziły śmiechy, wesołe krzyki, gwary. Mniej często przebiegało koło klombu jakie prosię, które przed zmierzchem odbiegło od stada i pomrukując z cicha, pokwikując głośniej, gnało ku stodołom; postawało, popatrzyło; pomruknęło i poszło dalej. Nieraz – ni stąd, ni zowąd – zjawiało się stado gęsi wiedzionych zapewne wonią świeżego zboża, które niejednemu zwierzęciu robi ślinkę w ustach. I one szły koło klombu konwersując: „gę, gę, gę”, lub głośniej: „taratatata”, a niekiedy i posykując między sobą. Te śmiałe gąski należały zapewne do jakiego urzędnika, mającego bliski stosunek ze stodołami.

Jeżeli pod kurnikiem Jagna się zdrzemnęła, a panna Trukawska w swoim pokoiku stawiała kabałę, to i indyki jedna za drugą zabierały się sprzed kurnika na małą wędrówkę ku lubej stodole, owemu celowi westchnień i marzeń rozmaitego zwierza. Indyki szły kwękając, utyskując, biadając jakby na złe losy, niby ziemianin, gdy go nawiedzi nieurodzaj; a przed indykami puszył się z wielkim nosem suty indyk strojąc wielkie fupy, jak bankier między ludźmi, a gotów zawsze przy okazji do burdy, do impertynencji i wymyślań od ostatniego.

Miał więc Buta czym napaść swoje ucho; a nawet oko, gdyż przez gęste krzewy umiał on przebić się byстрыm i pewnym wzrokiem. Nie mówiąc już o tym, że częstokroć wpadła w krzaki sroka jedna i druga; a widząc wilka, leżącego na ziemi, narobiła hałasu, wrzasku, nawrzeszczała się, naskrzeczała i poleciała dalej. Nie zachowywały się też skromnie sikory; ale wilk w tych razach pozostawał stoicznie cierpliwym, słuchał nie dając żadnej oznaki niezadowolenia lub obrazy. Bywało, że i kot, ulubieniec francuskiej guwernantki, wpadał w

gęstwinę; lecz ten szedł tak delikatnie w swych jedwabistych pantofelkach, zerkał oczkami tak bystro na wszystkie strony, że zwykle ominął Butę. Tyko pierwszy raz, gdy ujrzał wilka przyczajonego, mienił to być atakiem wymierzonym ku swej osobie; więc o sześć kroków stanął, grzbiet wygiął w kabłąk, ogon w półkole i fuknął parę, razy, ale widząc, iż wilk ciągle leży dosyć obojętny, wdrapał się na najbliższe drzewo i z wysoka przyglądał się Bucie.

Upływały znojne czasy żniw w Małowieży, gdy dnia jednego przed ich ukończeniem zaszedł następujący wypadek z indykami. Jagna na progu kurnika długo walczyła z porywającym ją w swoje objęcia Morfeuszem, to się zdrzemnęła, kiwnęła głową i uderzyła o ścianę, to znowu otwarła na wpół oczy i znowu zasnęła. Wreszcie popadła w sen twardy, w czasie którego człowiek zwykł głośno chrapać. Dziewczyna wyciągnęła przed siebie nogi bez trzewików i pończoch, oparła na ścianie zadartą do góry głowę, otwarła usta, z których widać było dokładnie piękne białe zęby, zwiesiła ku ziemi bezwładnie ręce i spała na słońcu. spostrzegły to indyki i dalejże wynosić się chyłkiem do stodoły. Nie szły one, ale biegły na wyścigi jak człowiek nie mający czasu do stracenia – aż się indyk zadyszał. Jakoś wtedy właśnie był ekonom w stodole, więc wrzasnął na chłopaka, który skręcał powrósła:

– Maciek, rozpędź mi to łajdactwo na cztery wiatry!

Tego też tylko Maciusiowi było potrzeba. Znalazł on sobie zaraz dobrą wić, rzucił się na stado indyk i począł je tak natarczywie prześladować, że strwożone ptaki, pędząc gnane ze stodoły, w rozpędzie prosto z bramy wpadły do klombu służącego za mieszkanie wilkowi. Do tej zawziętości ze strony Maciusia przyłożyła się nie tylko okoliczność, iż odebrał od pana ekonomy rozkaz, w którym indyki nazwane zostały łajdakami, ale chłopak miał żal do indyka, gdyż ten zawsze malców zaczepiał; chodziło więc o to, aby napastnikowi co przyłożyć witką.

Ani się spodziewał Buta takich miłych gości, spojrzął, a tu koło niego na prawo, na lewo, pomykają biedne indyczki, a zziąjany indyk pod sam nos mu włazi. Tego już było za wiele nawet na najcnotliwszego wilka, cóż dopiero takiego, który między antenaty liczył zuchwałego wilkołaka. Jak więc nie schwyci indyka za łeb... chrust... chrust... chrust... – i po wszystkim.

Maciś nie wiedział o niczym, zrobiwszy swoje, wrócił do powróseł; indyki zaś rozproszyły się po wszystkich klombach, niektóre nawet wypadły aż na pole.

To wszystko działo się w chwili, kiedy pannie Trukawskiej w kabale po raz trzeci stanęły – ósemka, dziewiątka i dziesiątka pikowa razem, a tuż przy nich as tejże maści, co należy do wypadków znacznie rzadszych, aniżeli wielki szlem w wiście licytowanym, z czego najniezawodniej wnosi się, że jakieś wielkie nieszczęście nastąpi w domu. Zaczyna białogłowa została tedy niepomiernie wzruszona, ze skupieniem ducha złożyła karty i wyszła przed kurnik. Patrzy, a tu miła Jagusia błogo zasypia. Rzecz prosta, że już ten tak powszechnie antropologiczny fakt był dla Trukawskiej równoważnikiem nieszczęścia. Naprzód więc mruknęła sama do siebie:

– A co, nie mówiłam? – Potem zaś zapalczywie przyskoczyła do śpiącej dziewczyny i wrzasnęła jej nad uchem: – A ty co robisz? A gdzie indyki?... Dam ja tobie, darmożjadzie!

Już przy pierwszych dźwiękach głosu swojej „panienki” zerwała się Jagna z miłego uśpienia i w cwał popędziła ku stodole, podczas gdy Trukawska uważała za właściwe rzucić jeszcze za nią te słowa:

– Czegóż tu można dokazać przy takiej służbie?... Wszystko na nic... chłopstwo ciemne i rozpuszczone jak dziadowskie batogi.

Dziewczyna jak oparzona wpadła do stodoły, a tu dopiero chłopaki w śmiech, Maciek najpierwszy przedrzeźnia ją wołając:

Zgadnij, Jagula, gdzie jest złota kula!... cha, cha, cha!

Od śmiechu aż się stodoła trzęsie. Śmieje się i sam karbownik, mówiąc ze szyderstwem:

- Ho, ho! te bestie dworskie baby wszystkie dobre do pilnowania – ale miski. Tej zachęty tylko trzeba było dla drwiącej rzeszy; znowu się wyśmiewają i wykpiwają. Strapiona Jagna prawie ze łzami w oczach wyszła ze stodoły; byłaby ona lamentowała na cały głos, ale z tego śmialiby się ludzie jeszcze bardziej. Idzie i woła:

– Truś! truś! truś!

Nasłuchuje, lecz nic się nie odzywa. Przeszła koło klombu, w klombie nic nie słychać; idzie za bramę, spojrzy, a tu kilka indyk spłoszonych z opuszczonymi skrzydłami wałęsa się po drodze i pod płotem, a jedna nawet wpadła do rowu i nie może się wydobyć.

– O mój Jezusiczku złoty, ratujże mnie też w moim nieszczęściu – zaszlochała Jagna spuszczać się z wysokiego brzegu w rów, aby wyratować i pojmać indykę.

Niełatwo to spędzić do kupy rozpłoszony drób! Indyka w nogi, Jagna pędzi za nią rowem i popłakuje szczerze a gorzko; ona, co przed chwilą tak przyjemnie zasypiała, może i słodko marzyła. Dopadła nareszcie indyki, wzięła ją pod pachę, wydobyła się z rowu, a zaganiając przed sobą pozostałe sztuki, powróciła z bijącym sercem przed kurnik. Ale gdzie reszta?... Do wieczora znalazły się wszystkie, brakowało tylko – naturalnie – indyka.

## IV

Zdaje się, iż zbyt celnym byłoby opowiadać, że po zejściu wspomnianych powyżej wypadków Buta został zniechęcony do szczętu. Teraz już i ekonom, dotychczas dosyć obojętnie traktujący kwestię wychowania wilka, zdawał się przechodzić stanowczo do obozu nieprzyjacielskiego, i to w jego radykalne centrum. Powiadają, że wysłuchawszy opowieści panny Trukawskiej o tragicznym zejściu z tego świata indyka, odezwał się na cały głos:

– Bo też trzeba być na to wariatem, żeby wilka w domu chować. Była to rękawica rzucona dla mnie. Drożdżewicz przytakiwał, dodając od siebie, że „dobra pigułka” będzie skutecznym lekarstwem na pozbycie się zbrodniarza.

– Naturalnie – konkludował ekonom – w dzisiejszych czasach jeszcze tego brakuje, żeby sobie człowiek z wilkami robił ceregiele. Zdanie zatem osobistości tak powszechnie szanowanej jak pan ekonom sankcjonowało propozycję otrucia Buty. A trzeba wiedzieć, iż Drożdżewicz odznaczał się niepospolitym talentem i zamiłowaniem do zadawania pigulek szkodnikom, to jest psom oraz kotom, które odważyły się nie przestrzegać regulaminu kuchennego. Kucharz wyprowadzał takiego winowajcę za drzwi i tam rzucał mu kulkę siekanego mięsa z jakimś proszkiem w środku. Każde zwierzę, zwłaszcza też głodne, może być w dobrej wierze wzięte na ten podstęp. Czyżby trucicielstwo w połączeniu z oszustwem nie miało hańbić ludzi, jeżeli jest zastosowane do zwierząt? A jednak biedne zwierzęta taką bezgraniczną ufność pokładają w człowieku! Bo też im więcej kto posiada dobrej wiary, tym snadniej zawiedziony zostaje. Właśnie dlatego to jest wielką cnotą, że za nią czerpie się w życiu gorycz – miasto nagrody. Drożdżewicz nienawidził wilka, a sam przyzwyczajony był do podrzynania gardła indykom, kurczętom, bażantom oraz innym niewiniątkom żywym. Nie zmarszczył się nigdy ani pochmurzył, gdy pod nożem jego skakały w górę żywcem operowane ryby lub kiedy żywe raki wrzucał do wrzącej wody. Tego zimnego okrucieństwa nie dała przyroda żadnemu stworzeniu. Każde zwierzę popełniając morderstwo popada w szal wściekłości. Wyrafinowanym zimnym mordercą może być tylko człowiek. Kucharz z Małowieży łowił też na sidła drobne ptaszki, które dusił w palcach; jeżeli więc chodziło o życie wilka, to nie było co żartować z takim zimnym oprawcą.

Okrom tych zewnętrznych niebezpieczeństw obawiałem się nadto, aby wilk nie zadusił kiedy prosięcia albo w ogóle jakiejś wyżej przez ludzi cenionej istoty żywej, bo wtedy wyrok na niego byłby nieodwołalny. Zacząłem więc rozmyślać, co mam przedsięwziąć. Tymczasem zaś dla chwilowego zażegnania burzy za pośrednictwem lokaja Szczepana, który mnie obsługiwał, rozpuściłem wieść, iż z wilkiem sprawa „w tych dniach się skończy”. Wiadomość tego rodzaju zrobiła w kuchni duże wrażenie i w duchowym organizmie wszystkich członków owego społeczeństwa miejsce nienawiści zajęło teraz oczekiwanie pełne żywej ciekawości; a to tym bardziej iż Szczepan nie powtórzył słów moich literalnie, aby jakoby od siebie samego dał do zrozumienia, że „dziś a jutro diabli wilka wezmą na pewniaka”. Drożdżewicz łypnął oczyma podejrzliwie na Szczepana, bo upatrywał on w takim przemówieniu wyraźną prywatę lokaja *ex re*<sup>2</sup> kości, dosyć troskliwie po każdym obiedzie usuwanych ze stołu, a między kośćmi nierzadko też i wcale smacznych kąsków. Tak to

---

<sup>2</sup> *Ex re* (łac.) z powodu

dzikiemu zwierzęciu trudno wyżyć wśród uspołecznionych i należycie zorganizowanych ludzi!

„Co ja tu robię?” – myślałem łamiąc sobie głowę ciągle a nadaremnie. Aż błysnęła mi myśl niebotyczna. Był w sąsiedztwie leśniczy, kawaler pan Izydor Wywiałkiewicz, jak to mówią, dobra dusza, człowiek uprzejmy, szczerzy, wylewny, gotów zawsze zrobić dla każdego wszystko, czego by od niego zażądano. Mieszkał on na ustroniu z dala od świata – w lesie; pomyślałem więc, iż u niego Buta przechowa się jakiś czas, a co należy zrobić potem, pomyślimy innym razem. Zadowolony z mego postanowienia, zasiadłem zaraz i napisałem list krótki, a już w czasie pisania tego listu oblegała mnie niepewność, czy aby Wywiałkiewicza posłaniec z pismem w domu zastanie, bo, co prawda, pan Izydor był po trochu pędziwiatrem. Rzeczony list tak brzmiał:

*Szanowny i kochany panie Izydorze!  
Zawsze Cię lubię oglądać i zawsze czuję potrzebę tego, jednakże  
zwykle mam mało czasu albo go wcale nie mam, aby Cię odwiedzić.  
Dzisiaj zaś szczególnie, dla wielu ważnych względów, nie mogę przy-  
być na Leśniczówkę. Zlituj się, panie Izydorze, przyjeżdż Ty do Mało-  
wieży, choćby o północy. Oprócz bowiem pragnienia zobaczenia się  
z Tobą mam nadto bardzo ważny osobisty interes, wymagający Twej  
rady i pomocy.*

Konny posłaniec popędził cwałem na leśniczówkę, unosząc moje pismo.

„Dwie mile drogi, to najwyżej dwie godziny – obliczałem – tyleż z powrotem, przeto za jakie pięć godzin Wywałkiewicz może już być tutaj; przecież przez ten czas Buty nie otrują, choćby też dla prostej ciekawości, wzbudzonej przez Szczepana, co się stanie z wilkiem”.

Tymczasem poszedłem do klombu, aby odwiedzić samotnika. Rzecz prosta, iż moje własne usposobienie nakazywało mi widzieć jakiś niezwykły psychiczny stan duszy zwierzęcej. Wydawało mi się, jakoby Buta utracił zupełnie swoją dzikość i okazywał mi nadzwyczajne odznaki przywiązania. Usiadłem przy nim pod drzewem, kładłem jego głowę na moich kolanach, brałem w rękę łapy, głaskałem go, wyjmowałem mu z wełniastej szyi liście oraz słomę. Buta zachowywał się spokojnie, a gdy miał odchodzić, spojrzał na mnie tak wymownie, że sądziłem, iż chce, abym jeszcze pozostał, więc pozostałem. Milord i Jork najczęściej mi towarzyszyli, kiedy odwiedzałem wilka, ale oba te psy pozostawały zwykle przed klombem; zapewne wstręt nie pozwalał im zbliżyć się ku legowisku swego współplemieńca. Przez cały więc czas moich odwiedzin, przysiadłszy na tylnych łapach, oczekiwały mego powrotu, a na ich fizjonomiach malowało się najwyraźniejsze niezadowolenie. Gwiżdżąc, nawołując po imieniu, przyzywałem nieraz dzielne psy do siebie; wówczas odzywały się poszczekując, niecierpliwiły się, przyskakiwały do samych krzaków klombu, ale nigdy nie chciały wejść do wnętrza. Nawet ręka moja, jeśli nią przed chwilą głaskałem wilka, miała jakąś złą woń dla psów, bo żaden do niej nie chciał się przybliżyć. Swoją drogą Buta, słysząc moje gwizdanie i oszczekiwanie klombu przez psy, jeżył sierść, podnosił się, wyciągał naprzód głowę, wyszczerzał ostre białe zęby, gotując się do przewidywanej walki. Podobał mi się w tej gniewnej postaci, w gotowości na wszelki wypadek. Podczas przechadzek żaden z psów nigdy się do mnie nie przybliżył, jeżeli prowadziłem wilka. Wszelkie zaś przypadkowe zbliżenia się nasze groziły zwykle wybuchem wściekłości ze stron obu. Trzeba było wtenczas widzieć Milorda, jak on stawał naprzeciw Buty. Jego piękne, łagodne oczy, pały iskrami, wielki ogon, ozdobiony białym jedwabnym a długim włosom wznosił się niby bojowy sztandar; pies ten przechodził wówczas z nogi na nogę, posuwając się powoli bokiem, a z piersi swej wydawał straszne dźwięki, wyrażające jego nieubłagane uczucie nienawiści. Buta był już wilkiem w pełnym



rozwoju sił; każde jego szarpnięcie uczuwałem mocno, wiedząc, iż gdyby raz zapragnął koniecznie stoczyć walkę z psami, nie byłbym w możności stawić skutecznego oporu. Łańcuszkiem więc, na którym prowadziłem wilka, owijałem sobie dobrze lewą rękę, a w prawej nosiłem przygotowany na wszelki wypadek żelazny pręt grubości ołówka. Dzięki losowi i taktowi moich zwierząt nie użyłem jednak nigdy tego strasznego narzędzia kary. Nie jest to żadna pedagogiczna chluba, ale jest to wielka nagroda wychowawcy.

Powróćmy atoli do właściwego biegu wydarzeń.

W niewiele godzin po wysłaniu listu, jak to przewidywałem, Wywiałkiewicz przybył do Małowieży. Spostrzegłem go już z daleka na gościńcu, jechał w tak zwanej biedzie, to jest wózku o dwóch kołach, do którego zaprzęgnięty był dzielny siwek. Wywiałkiewicz był chłopem roslym, w wieku lat przeszło trzydziestu, urodził się i wychował wśród nadnarwiańskich borów, bo i ojciec jego był leśniczym. Mój przyjaciel miał bujną czuprynę jasnoblon, prawie że białą, i takąż długą hiszpankę oraz spiczaste wąsiki, bary szerokie, piersi wypukłe, małe ręce i nogi, uśmiechniętą, zawsze pogodną fizjonomię, której charakter nadawało szerokie czoło i poczciwe niebieskie oczy. Przez cały czas jak go znałem, starał się zawsze o rękę jakiejś panny, ciągle się zakochiwał, odkochiwał i znowu się na nowo kochał; tak ciągle bez przerwy. Wiedzy książkowej nie posiadał prawie żadnej, ale pisywał podobno świetne romansowe listy; przy tym tańczył wybornie, jako tako grał w preferansa, jeździł konno dobrze, strzelał nieźle, pił ucziwie, mówił dużo i płynnie, choć nie zawsze dbał o należyty związek myśli. Był to więc człowiek pospolity, ale pospolity tak naturalnie, iż niejednemu pospolitość tego rodzaju przychodzi z trudem dopiero po długich doświadczeniach, studiach i rozmyślaniach nad życiem. Bardzo zdolni, wykształceni ludzie, jeżeli tylko umieją wyleczyć się z zarozumiałości, w jakim czterdziestym roku życia stają się Wywiałkiewiczami dla stosunków towarzyskich. Pan Izidor przyszedł już na świat jakoś tak dobrze i tak się szczęśliwie rozwijał, że wszystkie jego przymioty harmonizowały ze sobą w dobrej mierze. Umiał on się zastosować właściwie do Drożdżewicza, do mnie, do Trukawskiej itd. Robił to zaś bez przymusu, swobodnie i szczerze. Kochali go wszyscy, nawet Milord i Jork. Nie kochał go Buta, gdyż ten w swoich ocenach osób stawał zawsze na stanowisku rzetelnych faktów. Nikt by sobie nie zdołał być zjednać wilka miłymi słówkami lub głaskaniem; a nawet zamiar głaskania traktował on tak samo, jak gdyby go kto chciał uderzyć. Bezkarne pieścić lub bić Butę mogłem tylko ja jeden, który dawałem mu codziennie jeść, pić, który mu wyjmowałem kości z gardła, gdy się udławił, kolce z nogi, który go uwalniałem od pasożytów, broniłem przed psami i ludźmi.

Uścisnęliśmy się serdecznie z Wywiałkiewiczem, a ten od razu zaczął mówić:

– Dostałem wczoraj odkosza, ale za to dzisiaj mogę się nacieszyć przyjaźnią.

– Cóż znowu? – rzekłem. – W takim razie wspólna nasza przyjemność zbyt drogo jest opłacona i to głównie twoim kosztem.

– Co tu mówić! – zawołał Wywiałkiewicz. – Kobiety są jak chorągiewki na dachu. – A potem dodał: – Ale to nic; nie smuć się moim losem, pojedę niedługo w Mławskie i tam się ożenię.

– Jesteś już zdecydowany? – pytam.

– A nie inaczej; kuzynka moja dawno mnie tam swata.

–Więc dobrze, żeś dostał odkosza! Widocznie nie umiano cię ocenić.

–Dobrze, niedobrze, ale cóż robić? Emilka podobała mi się bardzo, kochałem ją nawet, jednakże wszyscy tam z góry patrzą na konkurenta leśnika.

Zdawało mi się, iż w głosie Izidora jest dźwięk goryczy, więc się w duszy szczerze uzaliłem nad jego losem. Tymczasem on przystąpił do mnie z dobrą miną i patrząc mi w oczy, rzekł z uśmiechem:

– Daruj, mój kochany, że przede wszystkim pali mnie ciekawość, co u licha za ważny i niecierpiący zwłoki interes masz mi przedstawić.

Pierwsze zawiązanie rozmowy naszej zbiło mnie poniekąd z tropu. Może Wywiałkiewicz i kochał szczerze, może z tego powodu cierpi, może pragnął być sam ze swoim smutkiem, a ja go wywlokłem z domu, aby obarczać własnymi kłopotami. Prawie że już zapomniałem o niebezpieczeństwach, na jakie Buta był narażony. Zebrałem atoli myśli i opowiedziałem Izydorowi cały stan rzeczy, dodając usilną prośbę, aby zechciał przez jakiś czas przechować wilka u siebie.

Wywiałkiewicz nie pojmował i nie podzielał mojego interesu dla rozmaitych zwierząt. Moje gile, zięby, czyżyki, sikory, wróble, sowy, psy oraz wilk mogły go zajmować chwilowo i rozweselać. Ale co to jest niepokoić się losem psa, wilka lub ptaka, tego Wywiałkiewicz nie rozumiał. Gdyby mu był nawet zdechł piękny jego koń siwek, żałowałby go jedynie z powodu pieniężnej straty oraz dobrego kłusa lub stępa; lecz zapomniałby niebawem o siwku, jeżeliby się znalazł w posiadaniu innego równie dzielnego konia. Większość znaczna ludzi jest pod tym względem podobna do mego przyjaciela. Tylko patriarchowie rodzaju ludzkiego, którzy oswajali dzikie zwierzęta i z nimi żyli, mogli w duszy przechowywać uczucia istotnej sympatii dla zwierząt. My dla tych istot, bezwzględnie nam oddanych, nie mamy ani wdzięczności za ich pracę, ani przychyłności. Służba zwierząt wydaje nam się jako mus pańszczyźniany; poddaństwo, za które zwierzęciu należą się tylko baty jedynie oraz licha strawa, na tyle pożywna, ażeby zwierzę wyżyło, jeżeli go sami zjeść nie mamy. Toteż rysów szlachetniejszego obcowania ze zwierzętami można by jeszcze dopatrzeć jedynie wśród poczciwego rolniczo – pasterskiego ludu. Ale zepsuty motłoch służby dworskiej stanowi tu bezwarunkowy wyjątek. Służba ta stoi hierarchią: pan rozkazuje rządcy, rządcą ekonomowi, ekonom karbowemu i polowym, ci zaś parobkom oraz dziewczkom, a parobcy i dziewczki pastwią się nad domowymi zwierzętami, aby te zadowolily cały szereg rozkazodawców onych. Bezprawia nie ma tu o tyle, o ile tego przestrzegają prawa. Że zaś zwierzęta praw są pozbawione, mogą więc być tyranizowane.

Jakkolwiek z powagą przedstawiłem swoją prośbę Wywiałkiewiczowi, zauważyłem, iż słucha mnie jednym uchem, myśląc o niebieskich migdałach.

– Ależ dobrze! – zawołał. – Zabiorę tego Butę dziś jeszcze do mojego samotnego zamku, stanę się jego pedagogiem, obrońcą, przyjacielem – czym chcesz.

Rozmowa nasza przeciągnęła się do północy, musiałem bowiem przedsięwziąć dokładny i szczegółowy wykład o potrzebach oraz zwyczajach wilka, ażeby do zmiany miejsca i otoczenia nie przyłączyła się całkowita zmiana sposobu życia, przez co mogłoby się być zwichnąć wychowanie Buty w warunkach cywilizowanego bytu.

– Chodzi o to tylko – rzecze Izydor – jak ja go tu zabiorę.

– Nie będzie to łatwa sprawa – odparłem – gdyż Buta nie pójdzie za tobą dobrowolnie; w charakterze jego, jako wada lub cnota wilcza, jest upór; przywiązywać go do wózka nie można, bo ucierpiałby dużo; opierając się przez całą drogę; musisz go więc wziąć w swoją biedę i w tym właśnie sęk, czy się da namówić.

Wywiałkiewicz przygotował swój ekwipaż do podróży, a ja tymczasem udałem się do klombu, skąd wyprowadziłem wilka na drogę. Wlazłem sam na biedkę i próbowałem zachęcić Butę, aby za mną wskoczył. Nadaremnie! Przywiązany z tyłu, iść nie chciał, stawiał opór i mógłby się być nawet udusić.

– Już wiem, co zrobię! – zawołał Izydor. – Wsadzimy go w worek. Czas naglił, nie było co się namyślać.

## V

A teraz przypatrzmy się leśniczówce, rezydencji Wywiałkiewicza, gdzie Buta miał przez jakiś czas pozostawać jako niestały mieszkaniec.

Wśród szumiącego na piaszczystym gruncie sosnowego lasu, przy wąskiej drożynie, stoi skromny, drewniany, wybielony domek, z ganeczkiem od frontu i czterema oknami. Z boku przylega do domu mały budynek; jest to stodołka i zarazem stajnia, mieszcząca skromny inwentarz pana Izydora. Przed owym budynkiem widać różnego rodzaju aż trzy wehikuly: małe saneczki, znaną nam biedkę o dwu kołach i poniewiera się też zepsuta jednokonna bryczka o czterech kołach; ale ta bryczka jest tak zrujnowana, że oto włożą na nią wygodnie gęsi, troskliwie poszukujące nie wymłóconego ziarna w słomianym siedzeniu. Kilka kur przyległo do ziemi w piasku i wygrzewa się na słońcu, podczas gdy przed nimi miarowym krokiem przechadza się jak feldfebel kogut, potrząsający dumnie grzebieniem na łbie i piórami w ogonie. W ganku na ławeczce leży łaciasty pies Trezor, który wszelkimi sposobami i dosyć nieskutecznie walczy z owadem skrzydlatym i bezskrzydłym – to zapanuje zęby gdzieś pod sierść, to znowu tylną nogą skrobie sobie skórę, bębniąc po ławce, to łapie w powietrzu muchy, szczękając zębami i wstrząsając uszama; a gdy wszystko nic nie pomaga, wtedy wstaje i przenosi się na drugą ławeczkę. Pod oknami białego domku znajduje się też coś na kształt ogródka, otoczonego sztachetkami; rośnie tu jednak najwięcej pokrzyw, z którymi walczą o przestrzeń nagietki, malwy i słoneczniki, dorastające wysokości okien. Zresztą znajduje się tu jeszcze studnia przy drodze i las dookoła.

Gospodynią w domu Wywiałkiewicza jest niejaka Kalasanta, niewiasta w wieku lat przeszło czterdziestu, chuda, wysoka i despotyczna względem wszystkich mieszkańców leśniczówki, nie wyłączając pana Izydora. Trudno byłoby osądzić z powierzchowności, do jakiej klasy społecznej należy owa białogłowa. Wprawdzie bowiem nosiła ona na głowie chustkę, podobnie jak kobiety z ludu prostego, ale jednak nie upinała tej chustki w ten sposób, co zwykle wieśniaczki; przy tym na rzeczoną ozdobę głowy dobierała sobie materiału o barwach nie będących w modzie u ludu. Czarny flanelowy kaftan dystyngował już Kalasantę bardzo wyraźnie; dzięki też zapewne głównie owej części ubrania chłopstwo, przybywające po zbierkę do lasu, tytułowało ją: „jejmością”, która to godność ma przywilej na pewnego rodzaju adorację; przed jejmością zdejmuje się już czapkę – i oddaje się nią ukłon po kolana, podczas gdy tytuł „wielmożna pani” wymaga ukłonu po pięty. Jejmościami są wszelkie gospodynie księżę i nie księżę.

Kalasanta trzymała się krzepko, cały dzień była w ruchu; mawiała też zwykle, że się zarabia, choć całe gospodarstwo składało się tylko z dwóch krów, psa, konia, czterech gęsi, sześciu kur łącznie z kogutem, a pan Izydor gościem bywał w domu. Robiła ona sama jedna wszystko: doiła krowy, zganiała gęsi, żęła w lesie trawę dla krów, doświadczała kur, czy nie są w trakcie znoszenia jaj; przy tym była kucharką, kamerdynerem, sekretarzem, praczką i szwaczką. Wywiałkiewicza trzymała krótko, naganiając zwykle całe jego postępowanie. Była zaś do niego przywiązana nadzwyczajnie, jakby matka do syna; chociaż podaję tu ten ostatni fakt na wiarę słów pana Izydora, a to z następujących przyczyn: istotą zagadkową i potrzebującą pieczy macierzyńskiej na leśniczówce był mały jedenastoletni chłopak, zwany powszechnie Laksender (Aleksander). Niby to Kalasanta była jego matką, ale on, gdy do niej

przemawiał, nazywał ją po prostu „Kalasanta” nie używając tytułów: „matko, matusiu, matulu”. Ona też, kiedy mówiła o nim lub się do niego zwracała, wyrażała się: „Laksender” i nic więcej. Kalasanta dopiero od dwóch lat znajdowała się w domu Wywiałkiewicza, który równie jak ja był szczerze dyskretny na punkcie zbadania rodowodu chłopca. To pewne, iż ta rzeczywista czy przybrana matka nosiła na sobie ślady znacznych wdzięków, które uwiędły razem z ubiegłą młodością; musiała to być osoba kiedyś nader piękna. Jeżeli okoliczność tego rodzaju może stanowić jaki przyczynek do rozjaśnienia tajemniczej genealogii Laksendra, nie mam nic przeciw temu, ale sam też nic stanowczego nie twierdzę, zwłaszcza że chłopiec nie zdradzał w rysach swoich najmniejszego podobieństwa do Kalasanty. Ona, chociaż dzisiaj dobrze już siwiała, była kiedyś brunetą i czarnooką, o smagłej, jakby przypalonej nieco cerze; za młodu musiała robić wrażenie ciemnopąsowej róży. Chłopiec był bladym pożółkłym blondynem o konopiastych włosach i burych, głęboko zapadłych oczach; na jego drobniutkiej, okrągłej twarzyczce wznosił się zadarty nosek.

Garderoba Laksendra nie odznaczała się bynajmniej skomplikowaniem. Miał na sobie grubą, jakby z tektury uszytą konopną koszulę, a przy tym na nogach pantaliony, zastosowane z pana Izydora do jego figury w ten sposób, iż je obcięto po kolana. Ponieważ ta część ubrania była i znacznie szeroka, i głęboka, przeto chłopak w spodniach robił wrażenie kąpiącego się beczce. Kawalek grubego szpagatu reprezentował tu przy tym jedyną szelkę, utrzymującą dosyć niedostatecznie równowagę kortowych spodni, których przynajmniej część nie zawieszona świadczyła nieustannie, że prawo powszechnego ciężenia nigdy nie pozostaje w spoczynku. Policzki malca pokryte były zwykle czarniawymi plamkami, pozostawionymi przez muchy, a nie zmywanymi przez wodę, chyba że go deszcz ulewny zastał kiedy w szczerym polu. Pod nosem też jego zawsze było można spostrzec niezawodny symptom zakatarzenia błony węchowej. Czapki lub kapelusza, butów oraz wszelkich innych dodatków toaletowych Laksender nie znał wcale od przyjścia swego na świat; on widywał tylko, że i w takie rzeczy ludzie się ubierają. Chłopak żył lasem tylko, wspinał się zrećnie na najwyższe drzewa, przenikał wszystkie gąszcze, wdzierał się na bagna, zwiedzał zarośla trzciny, sitowia i tataraków po bielach. Przyroda schwyciła go w swoje objęcia i wychowała prawie bez ludzkiej interwencji. Kalasanta miała w zapasie cały słownik różnych przezwisk dla malca, a najzwyczajniej nazywała go urwipołciem oraz obibokiem; przy tym suszyła mu często skórę i zamykała go na kołek w chlewiku z krowami. Laksender beczał wtedy na cały głos, aż mu się echo odbijało w lesie. Wyplakawszy się wreszcie do woli i na wszystkie tony, zasypiał zwykle i tak przeczekiwał dokuczliwe chwile uwięzienia. Trezor był psem za ciężkim, aby mógł podzielać wycieczki Laksendra, przeto chłopiec nie miał towarzysza; nie było w całym domu jednej duszy, która by go rozumiała jak się należy. Toteż kiedy na leśniczówkę przybył Buta, nastąpiło szczere porozumienie pomiędzy oswojonym wilkiem a dzikim chłopakiem. Bo choć długie szeregi wieków ewolucji leżą pomiędzy człowiekiem a zwierzęciem, to jednak nie zatarły się w zupełności liczne punkty, w których człowiek ze zwierzętami, a zwierzęta z człowiekiem porozumiewać się mogą. Ma to zaś miejsce wówczas mianowicie, jeżeli w całym tym stosunku znika idea wojny.

Kalasanta z ukosa i z kwaśną miną spoglądała na wilka, zwłaszcza gdy się dowiedziała od Wywiałkiewicza, że Buta karmi się tylko mlekiem i mięsem.

– A jakże tu takiej bestii będzie można u nas nastarczyć? – wołała z gorzkim wyrzutem.

Laksender to wszystko wiedział daleko lepiej i zaraz podsunął panu Izydorowi myśl, że w okolicznych wsiach zdychają barany, konie itd., że on się zawsze postara o mięso. Co do baranów zdechłych, Wywiałkiewicz oponował ze względów zdrowotnych, ale nie miał nic do zarzucenia przeciw zdrowej koninie, dodając, iż na utrzymanie wilka ustanawia się stały fundusz, a Laksender ma od czasu do czasu pobiec do miasteczka albo i przejechać na siwku; aby tam zrobić zakup wątroby, jelit, łbów, kości lub i droższego mięsa.

Prawie od pierwszego dnia chłopiec i wilk byli już na stopie poufałości, każdy zaś nowy dzień wzmacniał tylko ich przyjacielski stosunek. Laksender stał się żywicielem i prawdziwym opiekunem Buty; wobec takiego zaś faktu ani wilk, ani nawet tygrys nie może pozostać nieczułym. Kalasanta wykonywała nieustannie swoje nieprzerobione nigdy zajęcia. Wywiałkiewicz pojechał w Mławskie na zaloty, Buty nie spuszczo do tąd ani jeden raz z łańcuszka, a Trezor stał się typem zwierzęcia, które już zmarnowało wszystkie swoje naturalne władze oraz zdolności; spał ciągle, rzadko kiedy szczechnął, nie oddalał się nigdzie z domu, a pod jesień garnął się do ciepłego kąta.

Na leśniczówce nigdy nie było wesoło; w jesieni zaś, kiedy ciągle lały deszcze, miejscowość ta zamieniała się prawie w kałużę. Laksender wystawił wilkowi budę, usłał ją miękkim sianem, biegał do miasta po mięso, ilekroć zaszła tego potrzeba. Skończyła się i pora deszczów, a nastaly zimne przymrozkowate poranki oraz wieczory. Chłopczyna nosił na sobie ciągle jeden i ten sam kostium, pomimo znacznej różnicy w temperaturze i jakkolwiek zwierzęta wszystkie przywdziały już cieplejsze szaty. Jednego dnia wybrał on się gankiem do miasteczka, a powrócił dopiero późno wieczorem. Kalasanta, według zwyczaju, wyłajała go bardzo surowo i w przystępie pasji potraktowała nawet szturchańcem. Laksender wysłuchał reprimendy, przyjął cios po stoicku, a potem zajął się wydzielaniem porcji wilkowi. Chłopak powrócił dziś z miasta wybladły, prawie zzieleniały, jakieś klucie i bolenie dolegało mu straszliwie; nie wiedział atoli, gdzie i co; postawał w drodze lub przysiadł; dlatego też bardzo późno wrócił do domu. Teraz właśnie, kiedy do budki przyniósł wilkowi żywność, zrobiło mu się bardzo zimno, dreszcze przebiegały po całym ciele i ogarnęła go nieprzewyciężona śpiączka; wlażł przeto w legowisko wilcze; gdzie też od razu zasnął. Przespał tak noc całą.

Okolo północy powrócił do domu Wywiałkiewicz: otwarła mu drzwi Kalasanta; strofując za włóczenie się po nocy. Zwykle nie troszczyła się ona, gdzie sypia Laksender – u krów czy u siwka. Ale trzeba było teraz chłopaka poszukać, aby wyprzągnął konia i wprowadził do stajni, a jeżeli wypadalo, to także napoił, założył za drabinę siana lub w żłobie obroku. Nie mogła go znaleźć tym razem, a wołanie wszelkie okazało się daremny. W tym właśnie czasie Laksender miał bardzo silną gorączkę w wilczej budzie.

Nazajutrz rano Wywiałkiewicz przywołał Kalasantę i rzekł:

– Zawołajcie mi tu Laksendra, dam mu kurtkę, buty i czapkę, bo coś bardzo zimno; miałem to zrobić już dawniej, ale jakoś przepomniałem.

Na to rzekła gospodyni:

– Szkoda dla bestyjnika takiego stroju, wielki z niego nicpoń; oto i dziś w nocy gdzieś się zawieruszył, tak że sama musiałam siwka wyprzęgać.

– Jak to, nie nocował na leśniczówce? To chyba się zabłąkał gdzieś w lesie?

– Ej, gdzie tam! Skrzyczałam go wczoraj setnie, bo jak poszedł rano do miasta; tak dopiero późno wieczór wrócił; żadnej zaś wysługi ani wyręki nie ma człowiek w domu z takiego gałgana.

Wywiałkiewicz dnia tego miał zamiar w domu pozostać; przynajmniej do południa. Wypiwszy kawę i wypaliwszy parę fajek tytoniu, zdjął ze ściany gitarę, prześpiewał sobie jakąś miłosną arię, po czym wyszedł przed dom na ganek. Tutaj zapewne przypomniał sobie Butę i chciał go zobaczyć, postąpił przeto ku budzie, z której doleciały go jakieś ludzkie stękania. Jak w psie pozostaje zawsze trochę wilka, tak w wilku jest sporo psiej natury. Buta rozciągnął się na chorym Laksendrze i ogrzewał go swoimi kudłami. Wywiałkiewicz przeraził się niezmiernie, sądził bowiem, że wilk poszarpał chłopaka, tymczasem oto chłopiec umierał – rzecz można – z poświęcenia dla zwierzęcia, które się nim teraz opiekowało w sposób dla siebie tylko zrozumiały. Buta z wielkim swoim niezadowoleniem, a

nawet z oznakami gniewu zaledwie pozwolił zabrać z budy chłopaca, który majaczył i był nadzwyczajnie rozpalony na całym ciele.

Na trzeci dzień chłopiec już nie żył. Skończył właśnie wtedy, kiedy Wywiałkiewicz wybierał się do miasta do felczera, aby ten Laksendrowi bańki postawił. Leżało w izbie zimne, wychudłe i sińcami pokryte ciało dziecka. Po śmierci ubrano je w czystą koszulę i dano mu całkowitą odzież... obmyto twarz oraz ręce. Nie było żadnego płaczu po Laksendrze. Kalasanta mówiła tylko że jej „jest markotno, bo – co prawda – psotnik był wielki, ale może by się ustatkował”. Wywiałkiewiczowi zrobiło się też przykro, bo śmierć w domu nigdy nie jest przyjemna. Trezor w gnuśności swojej dawno utracił wszelkie poczucie, był to pies idiota. Tylko Buta czuł nieobecność malca, więc kręcił się niespokojnie przy swojej budzie. Jeżeli znalazł przyjaciela, czemuż by nie miał tęsknić za nim?...

Przyszedł grabarz z parafii, przyniósł trumienkę, włożył w nią z zimną krwią zwłoki Laksendra i zabił wieko ćwiekami.

Kto wie, czy ten chłopaczyna nie był jednym z wielkich w ludzkim gatunku; może to był wielki umysł, a może podniosły charakter? Nie znał pieśczości matki, ojciec nie udzielał mu nauk, nie przyznał się nawet do niego. Serce dziecka pierwszy raz zabiło z przyjaźni dla zwierzęcia, a zwierzę pierwszy raz przytuliło je i ogrzało. Pielęgnujmy szczerą miłość bliźniego, bo ona tak jest potrzebna na świecie, a dotąd nie znamy bliźnich naszych. Znamy tylko wrogów. Czy tylko miłość bliźniego nie jest czystym pragnieniem szlachetnych?

Grabarz wziął na plecy trumnę, poszedł z nią prosto na cmentarz i zakopał w ziemię. Takim nieboszczykom nie potrzeba ani pisanego nekrologu, ani pogrzebowej mowy. A jednak ich biografie są piękne. Laksendra nie było już na świecie!

W parę dni Buta urwał się z łańcucha, pobiegł w las, wietrzył, szukał, zawył, przyzywał przyjaciela jak umiał i znowu wrócił do budy na leśniczówkę. Wybiegł na drogę, wietrzył na wszystkie strony, szukał, pędził; ale potem powrócił do domu i smutny znowu legł w swojej budzie. Może jeszcze wyczekiwał przybycia chłopca.

Wywiałkiewicz włóczył się jak zwykle, Kalasanta zaś najczęściej zapominała o wilku i morzyła go głodem, chociaż po śmierci Laksendra gajowy regularnie przynosił dla niego żywność z miasta. Trudno, żeby ludzie dbali o wilka.

Jednego dnia Buta wybrał się w dłuższą podróż do lasu; ale przebył las i przyszedł do wsi, przebiegł wieś całą i znalazł się we dworze, gdzie mieszkał pan Wojecki, dzierżawca Ostrowisk, dobry mój znajomy. Po obroży poznał on od razu Butę i ugościł go sownie. Na drugi dzień, prawie o tej samej godzinie, wilk znowu przybył do dworu i tu został znowu bardzo dobrze przyjęty. Odwiedziny takie powtarzały się nieustannie; ale po odwiedzinach Buta stale powracał na leśniczówkę i kładł się w budzie. Miejsce widocznie go przywiązywało; może i wspomnienia, ale potrzebował także pokarmu, którego poszukiwał, jak umiał. Pan Wojecki jednakże nie zawsze był zawiadomiony o odwiedzinach Buty; służący częstokroć wypędzali z sieni za drzwi natręta, grożąc dokumentnie kijami.

Jednego zimowego dnia; tak odprawiony, powracał nasz wilk przez wieś o samym zmierzchu, głodny i smutny. Śnieg dał duży, chaty były pozamykane; nikt by nie wpuścił do domu wilka, choćby wilk z głodu umierał. Wszakże i człowiekowi nie zawsze się robi tę przysługę. Wśród zawiei Buta nasłuchiwał i rozglądał się w przyrodnie całej; prawie już był wyszedł za wieś. Gdyby był spotkał teraz swoich leśnych ziomeków, może by ich nie zrozumiał. A oni, czyżby przyjęli do swego społeczeństwa rodaka, co się wyrzekł ojczytych zwyczajów, co się zżył z ludźmi? W opłotkach, tuż za wsią, Buta spotkał zabląkanego wieprzaka, który pędził prosto drogą pod wiatr, pokwikujać. O dwa kroki od siebie, jeden na wprost drugiego przystanęły – wilk z wieprzakiem. Wieprzak umilknął, wilk także milczał; wieprz pierwszy skrzył w bok, ale wilk znowu mu zaszedł drogę. Magnetyczny wpływ oczu Buty osadził wieprzaka w miejscu, tym bardziej że opłotki były zawiane śniegiem. Złodziej,

który pierwszy raz kradnie przyciśnięty głodem, musi być drżący, choć nikt nań nie patrzy; drży on i później, gdy drugi, trzeci raz sięga ręką po cudzą własność. Pierwiastki uczuć, składających się na wyrób ludzkiego sumienia, muszą istnieć w całej żywej naturze jako nieodłączne od procesu życia. Bo skądże by się wzięło ludzkie sumienie? Z niczego zapewne ono nie powstało. Rozległo się wkrótce kwiczenie wieprzaka, kwiczenie przeciągłe, długie, głos boleści dotkliwej, wzywającej ratunku spieszного. I tego rodzaju głos rozlega się także w całej żywej przyrodzie. Tak jęczy ptaszę mordowane w szponach jastrzębia, sarna duszona w kniei przez wilki, człowiek – pod ciosami bliźniego mordercy. Jeżeli ryki gniewu oraz wściekłości, usłyszane z daleka, wprawiają słuchaczy w odrętwienie, wobec którego milknie rozum, a nieograniczenie włada przestach całego organizmu, to błagalny krzyk rozpacz i cierpienia uzbraja za to naszą sympatię, współczucie i pobudza do niesienia ofierze czynnej pomocy. Kiedy jęknie zraniony mors, fale oceanu niosą jęk ten podwodnym mieszkańcom i zbiera się w mgnieniu oka rzesza mścicieli, gotowych do odwetu. Gdy kot zabiera pisklętą słowiczej matce, a jedno z nich boleśnie krzyknie, ona się zjawia i jakby pada na kolana przed kotem, zebrząc litości. Kto wie, czy nie ma przykładów zmiękczenia mordercy, jeżeli jego głód, silniejszy od uczuć litości, został już zaspokojony? Bo skądże by ptaszynie przyszło użyć tego środka?

Usłyszano we wsi kwiczenie wieprzaka, bo właśnie – pomimo zawieruchy śnieżnej – poszukiwała go wyrobnica, której on był własnością. Wpadła w zapłotki i widzi, co się dzieje... Przełękła, zawraca do wsi, a bijąc silnie we drzwi każdej chaty, woła:

– Wilki! Wilki! Wilki!...

Ona, biedna kobieta, miała zjeść kiedyś tego wieprzaka, a tu przy szedł wilk głodny i wprzód go zjada. Nie o zbrodnię więc morderstwa tutaj chodzi, gdyż wcześniej czy później wieprzak zamordowany być musiał. Wszakże po to żył na świecie, dlatego wykształcano jego organizm. Chodziło o to jedynie, kto wieprzka zjadł...

Każdy, co się we wsi poczuwa na siłach, chwyta drąg, widły, cepy; wypadają ze spokojnych chat ludzie silni, ludzie czynu, a każdy pyta – okiem, uchem, słowem:

– Gdzież są wilki?

Już tylko słabe jęki umierającego wieprzaka dochodzą do uszu. Pędzą gospodarze, widzą wielką zbrodnię, mszczą się energicznie... Buta nie walczy wcale, nie uchodzi; on się wychował wśród ludzi, oswoił się i wśród ludzi zginął. Zginął za to, że był głodny. Bo też zwykle z tej przyczyny walczy się i umiera na świecie. Ktoś zawsze jest głodny czegoś, aby... istniał.